

## Czy prawdziwi turyści znikną z gór?



Na Śnieżniku - Foto: Archiwum

Tytułowe pytanie jest może nieco przesadzone, z drugiej strony nietrudno zauważyć puste szlaki w środku sezonu i niewielką frekwencję w schroniskach górskich. A zatem, czy turyści znikną z gór, czy turystyka górską przeżywa kryzys? I tak i nie - może brzmieć odpowiedź. To, że kryzys w turystyce trwa, jest wyraźnie widoczne. W środku sezonu, we wrześniu, można było iść od rana do wieczora i nie spotkać po drodze ani jednego turysty. A dzieło się tak na długich, tranzytowych szlakach Beskidu Żywieckiego. Jedyne krótkie, dojściowe szlaki były dość licznie odwiedzane przez turystów. Podobnie było w innych grupach górskich.

Przyczyny.

Mozna ogólnie powiedzieć, że kryzys w turystyce górskiej jest pochodną kryzysu społeczno-gospodarczego panującego w naszym kraju. Jest to najprostsze wytłumaczenie tej sytuacji. Konkretnie przyczyny są bardzo prozaiczne i brzmią następująco: po pierwsze, prawie całkowity brak obuwia turystycznego. Popularne i zupełnie przyzwyczajone "traperki" zniknęły ze sklepów ze sprzętem sportowym i turystycznym i nie dlatego, że nie są produkowane, bo ich produkcja trwa, tylko dlatego, że nie są sprowadzane do sklepów. Kiedyś, kiedy sklepy dostawały buty "z rozdzielnika", można je było kupić w dowolnym kolorze i wielkości. Teraz nikomu nie zależy, ani na towarze, ani na klientach, a sprzedawcy w państwowych (przeważnie) sklepach już dawno zapomnieli, jak wyglądają "traperki". Po prostu nie dostają "z centrali" i koniec. Prywatne sklepy ze sprzętem sportowym i turystycznym nie interesują się takim towarem z tej prostej przyczyny, że ich właściciele nie wiedzą o istnieniu obuwia turystycznego. Jest kilka sklepów w rejonach podgórskich i w Warszawie prowadzących sprzedaż importowanych butów, a także "traperów" i "himalajów", ale trudno chyba jeździć po całym kraju i szukać butów? Zamożniejsi koledzy i wspinacze fundują sobie "kollachy" i "dachsteiny", dostępne już w kilku specjalistycznych sklepach, nie są to jednak buty tanie. Gdzie znikają "traperki"? Okazuje

(dokończenie na str.2)

### Korona wleciała wysoko

Nowe dotarło już wysoko, bo aż pod chmury. Oto 19 stycznia br. członkowie Klubu Sudeckiego z Poznania zmienili godło państwowe na schronisku PTTK "Na Śnieżniku" (było nie było, w końcu 1250 m n.p.m.!). Na tarczy dumnie teraz połykuje orzeł w koronie. Ładny gest ze strony Wielkopolan. Miejmy nadzieję, że ciężar korony nie spowoduje obniżenia lotu orla.

## Czy prawdziwi turyści znikną z gór?

(dokończenie ze str.1)

sklepek, nie są to jednak buty tanie. Gdzie znikają "traperzy"? Okazuje się, że znikają na budowach, gdyż to, co pozostanie w kraju i nie zostanie wyeksportowane, jest kupowane przez zaradnych zaopatrzeniowców i idzie na budowy jako obuwie robocze. Skandal? Oczywiście tak, bowiem producentowi jest wszystko jedno, komu sprzedaje swoje wyroby. W rezultacie turyści "dożywają" buty, które niegdyś udało się kupić, a ci, którzy nie mają możliwości dotarcia do porządnego obuwia, kupują różne trampki i tzw. adidasy. Skutki używania takiego obuwia w górach to zwiększona ilość wypadków na turystycznych szlakach. Pozostali potencjalni wędrowcy po prostu rezygnują z uprawiania turystyki. W innych grupach towarowych jest na szczęście lepiej - można przebierać w plecakach i w ubiorach, nie ma też większych problemów z namiotami i śpiworami, dostępne są też lekkie materacki, tzw. karimaty.

Turystyce górskiej nie sprzyjają też dwa środowiska, całkowiec zresztą przeciwnostawne. Są to z jednej strony dyrekcje parków narodowych, a z drugiej rzeczniczy intensywnego zagospodarowania terenów górskich. Ci pierwsi zamykają szlaki i całe fragmenty gór, ci drudzy swoimi inwestycjami skutecznie obrzydają turystom wędrowkę po górach. Jedni i drudzy, stojąc na przeciwstawnych pozycjach i walcząc o swoje racje, powodują spory zamęt. Ochroniarze w efekcie zamykają dostęp do gór tym, którzy najmniej górcom szkodzą, a "budowniczości" zapaskudzają góry nie licząc się z nikim i z niczym. Przypomnijcie sobie, drodzy czytelnicy, Piłsko i Halę Miziową sprzed epoki narciarstwa wyciągowego. Kiedyś była to góra, teraz to jest składnica żelastwa latem, a dziki lunapark zimą. Żal patrzeć z daleka na piękny niegdyś masyw, dziś okaleczony i oszpecony przecinakami z wyciągami i trasami narciarskimi. A dokonano tego w imię nowoczesności i dla dobra ogólnego. Nic dziwnego, że wielu turystów przestaje odwiedzać kolejne zniszczone rejony górskie. Przenoszą się gdzie indziej, a gdy w nowe miejsca dotrze nasza wątpliwa cywilizacja, idą dalej, aż w końcu rezygnują. W ten sposób wielu turystów odwróciło się od Doliny Wołosatego czy od Karkonoszy i Gór Iżerskich, wielu omija Piłsko, a także Beskid Śląski i inne miejsca.

Co jeszcze przepłoszyło z gór wielu naszych kolegów? Na pewno ceny i to ceny wszystkiego. Począwszy od opłat za bilety PKP i PKS, na cenach posiłków i noclegów w schroniskach skończywszy. Mieszkańcom Krakowa, Katowic czy Wrocławia dojazd w góry nie obciąża kieszeni tak, jak mieszkańców Polski północnej. Stąd silne i liczne środowiska turystyczne Trójmiasta, Olsztyna, Torunia i innych większych ośrodków były w minionym sezonie mniej aktywne niż zwykle. Wielu z nas rezygnowało także często z noclegów w schroniskach, bazując w dolinach, we wsiach, w kwaterach prywatnych. Przeciętą opłatą za nocleg w schroniskach beskidzkich wynosiła ok. 10 tys., a w kwaterach ok. 6-8 tys. złotych. Szlaki i schroniska zapelniały się w piątki, soboty i niedziele, kiedy po pracy i nauce ruszali w góry turyści z miast położonych w ich pobliżu. Dla turystów z dalek od gór położonych ośrodków wyjazd w góry stał się często niezwykle kosztowną wyprawą. Stan taki utrzymuje się prawdopodobnie jakiś czas, dopóki środowiska turystyczne nie okrzepną finansowo. Góry zapelniają się turystami wtedy, gdy uporządkowane zostaną relacje między działaniami chroniącymi przyrodę i krajobraz, a działalnością inwestycyjną i gospodarczą, kiedy uzna się turystykę za zjawisko pożądane, a turystów za mile widzianych gości.

JULIUSZ WYSŁOUCH

## Harcerze na Połoninie Wetlińskiej (dawno temu)

Kiedy dzisiaj obserwujemy szybko postępującą urbanizację gór, w tym niestety i tych terenów, które na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych pozostawały ostoją pierwotnej przyrody, coraz trudniej przychodzi przypomnieć sobie obraz Bieszczadów z 1960 r.

Hałaśliwa reklama tego górotworu oraz znaczne jego przeobrażenia w minionych latach sprawiły, iż mimo Bieszczadzkiego Parku Narodowego, o którym 30 lat temu nikt jeszcze nie myślał, mamy dzisiaj Wielką i Małą Pętlę Bieszczadzką, Jezioro Solińskie, nowy odcinek pseudokarpackiej drogi z Cisnej do Komańczy, zrujnowane przez niefrasobliwą gospodarkę przetworczą Muczne, asfaltowe drogi, które prowadzą m.in. z Ustrzyk Górnych do granicy państwa z ZSRR na Przełęcz Bukowską czy wyprowadzają na Przełęcz 816, przekraczając główny grzbiet Wołosania.

W 1960 r., ku któremu pragnę się cofnąć, Bieszczady wyglądały całkiem inaczej. Zniszczony i zdewastowany budynek jednostki wojskowej na Połoninie Wetlińskiej (zaledwie w cztery lata od wystawienia) stał w centrum bieszczadzkiej głuszy, oddalony o 5-10 km od najbliższych ludzkich siedzib w Wetlinie i Nasiecznem. Opuszczony i niszczący obiekt czekał na ratunek, na mądrą inicjatywę, która potrafiłaby przeobrazić go w stałą bazę dla kwalifikowanych turystów, coraz bardziej łaknących piękna i jedyne w swoim rodzaju uroku Bieszczadów.

Inicjatywę tę podjęli harcerze z krakowskiej Chorągwi ZHP, a dokładniej 41 Drużyna im. Generała Jakuba Jasińskiego z Hufca Łobzów-Kleparz. Wspomniana drużyna podczas letniego obozu, jaki w 1959 r. odbywał się w Smereku Wsi, postanowiła w następnym sezonie letnim wyremontować budynek pod szczytem Połoniny Wetlińskiej, inicjując w nim normalną obsługę turystów.

Opracowano szczegółowo program "Akcji Połonina". Studiując dzisiaj wpisy z obozowej książki pracy oraz turnusu, jaki miał tu miejsce od 24 czerwca do 30 lipca 1960 r., trudno oprzeć się wrażeniu, że żyjemy w całkiem już innych czasach, gdyż to, co obecnie wydawałoby się zupełnie niewyobrażalne, dla krakowskich harcerzy było nie tylko obowiązkiem, ale fascynacją, przygodą, szkołą życia.

Opracowany program remontu budynku, a właściwie niszczonego na Połoninie Wetlińskiej schronu, zawierał: załatwienie i transport materiałów budowlanych w Bieszczady i pod szczyt Połoniny Wetlińskiej, następnie samodzielne przeprowadzenie remontu, w tym: budowy mebli, łóżek, pieca, remontu ścian i podłóg, malowanie obiektu, zasklenia okien. Z kolei rodzaje się do życia schronisko zaopatrzone w sprzęt gospodarczy. Bezpośrednio po wykonaniu wszystkich prac harcerze zainicjowali normalną obsługę schroniska dla turystów - obiektu wyposażonego w środki sanitarne, pocztówki i pocztę polową, książki: meldunkową i pamiętkową, latarnię zapałaną na grzbiecie Połoniny Wetlińskiej przy złych warunkach atmosferycznych.

Nie zapomniano o umieszczeniu na zewnątrz schroniska flagi państwowej oraz flagi "Republiki Wetlińskiej", zawieszeniu w przedsiönku mapy najbliższej okolicy i tablicy ogłoszeń, wykonaniu szlaku dojściowego do źródła wody, napisów informacyjnych, oznaczenia słupów granicznych "Republiki". Czy wszystko to nie było wyjątkowe i szczególnie fascynujące?

Fakt, że tak ogromny zakres robót wykonało 14 osób, komunikacja do Wetliny była bardzo utrudniona, a praktycznie możliwa jedynie autostopem, żywność kupowano głównie w Cisnej i Lesku, zaopatrywanie schroniska w wodę wymagało noszenia jej w wiadrach dwa razy dziennie na odległość ok. 700 metrów, a po drzewo na opał do kuchni było ponad 1 km - zapal i determinacja krakowskich harcerzy musza budzić najwyższy podziw. Dodatkowo, ponad połowę okresu trwania całej akcji panowała niesprzyjająca pogoda i lał deszcz.

Raport poobozowy "Akcji Połonina" podaje, że cały sprzęt dostarczony został w Bieszczady

samochodami, harcerze natomiast podróżowali pociągami do Zagórza, skąd autostopem. Oto jeden ze znaków autentycznie innej epoki.

Sądząc, że o wiele wymowniej od moich osądów zabrzmią fragmenty wpisów z książki obozowej, które przedstawiają się tak szokująco, gdy odnieść je do dzisiejszych realiów, że wszelkie komentarze są tu zbędne. Oto zatrzymane w kadrze niektóre momenty tamtego obozu:

"... Sprzęt zakupiony w Krakowie (wiadra, garnki, lampy, kosze) został z Nasiecznego przeniesiony przez obsadę obozu na plecach - 10 km..."

"... 29.VI. - Konik Leszek wraz z innymi kolegami transportuje na plecach 12 szymb z Wetliny na Połoninę Wetlińską..."

"... 30.VI. - zejście do Wetliny, autostopem do Cisnej na pocztę - wysłać list do Krakowa z meldunkiem o stanie schronu..."

"... 1.VII. - transport desek traktorem przez Lutowiska, Dwerniczek, Nasieczne, Berehy pod Połoninę Wetlińską. Wylądowanie 3 m<sup>3</sup> desek z traktora..."

"... 4.VII. - przeniesiono do schronu: 4 wiadra, garnki, konserwy, narzędzia, 10 pałatek, przy złej pogodzie i dużym obciążeniu..."

"... 5.VII. - autostopem do Leska kupić kasę, młotki, świece, naftę, latarki. Powrót do schronu następnego dnia..."

"... 7.VII. - przeniesienie desek z drogi w Berehach Górnych w kierunku Połoniny. Harcerze pracowali od 9.00 do 21.00..."

"... 8.VII. - grupa zamontowała kołowrót i w ciągu 12 godzin przetransportowała deski do połowy podejścia..."

"... 9.VII. - wraz z grupą turystów zakończono transport desek..."

"... 12.VII. - budowa pryczy piętrowej w spalni.

Naprawa słupów granicznych Republiki..."

"... 16.VII. - koszenie siana. Zebranie siana i ułożenie na pryczach w spalni..."

"... 17.VII. - wymarsz do Wetliny, wyjazd do Rzeszowa i Przemysła załatwić deski i płyty pilśniowe na remont strychu..."

"... 23.VII. - wymarsz i wyjazd po gips i farby do Sanoka - do malowania izb..."

Całą nagrodą i satysfakcją dla uczestników remontu schronu był rozkaz nr 7/60/P komendanta akcji: "... Z dniem dzisiejszym oboz uważam za zakończony. Dorobek nasz uważam za bardzo dodatni. Dziękuję druhom za duży wkład pracy i ofiarność..."

Szczególnie trudne do uwierzenia jest rozliczenie finansowe wykonanego remontu. Koszt wszystkich prac w przywróceniu obiektu na Połoninie Wetlińskiej turystom wyniósł 31 861 zł. Były to więc inne czasy, inne koszty oraz z pewnością inna młodzież.

Gdy wchodzi się dziś do schroniska PTTK na Połoninie Wetlińskiej, w kilkadziesiąt minut po opuszczeniu wygodnego wycieczkowego autokaru, warto przypomnieć krakowskich harcerzy z lat sześćdziesiątych. To im zawdzięczamy uratowanie tego obiektu dla górskiej turystyki. A zresztą, czy harcerze z pierwszych powojennych lat byli osamotnieni w swoich cennych inicjatywach i wyjątkowej aktywności? Kiedy w 1955 r. krakowskie działacze PTTK odbudowywali spalnią przez hitlerowców Halę Krupową w Beskidzie Żywieckim, zachęcano ich następującym apelem: "... Jedziemy do Skawicy i na własnych ramionach i w plecakach wnosimy kafele, cegły i inne sprzęty na górę świadcząc, iż wysiłek dla sprawy budowy jest dla nas wysiłkiem radości z rezultatu podjętej inicjatywy, która - oby znalazła dalszych naśladowców w innych Oddziałach..."

Pozdrawiam zatem z tych lamów wszystkich dzisiejszych "działaczy" społecznych, którzy bez dobrze opłaconej delegacji na krok się nigdzie nie ruszą, konsumpcyjnie nastawiona część "złotej" młodzieży, zwłaszcza zaś niektórych studentów pilnie studiujących przez lat kilkanaście po to, aby gdy studia ukończą, "stanąć na nogach" pewniej niż niejedyn zwykły śmiertelnik, który zbliża się do emerytury.

ANDRZEJ MATUSZCZYK

## W NUMERZE - między innymi:

W ŚWIĘTEJ KATARZYŃCIE	str. 4
LISTY, OPINIE, POLEMIKI	str. 5,6
OBWAROWANIA MIAST DOLNOŚLĄSKICH	str. 7
KTÓRĘDY DO EUROPY?	str. 8
"NA SZLAKU" Z KTG	str. 9
MÓJ PRZYJACIEL "CZIKA"	str. 11
SUDECKIE CIEKAWOSTKI	str. 12
JAK ZARUSKI ZNAKOWAŁ SZLAKI TATRZAŃSKIE	str. 13
GLOBTROTER	str. 15,16
ALPINIZM	str. 17,18

NA SZLAKU - dwumiesięcznik turystyczno-krajoznawczy poświęcony górcom.  
Pismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego

Zespół redakcyjny: Włodzimierz Bieroński (red. techniczny), Krzysztof R. Mazurski (red. naczelny), Andrzej Matuszczyk (Kraków), Stanisław Nosol (sekretarz redakcji), Ryszard Szlagor, Juliusz Wyslouch (Toruń). Stałe współpracują: Aleksander Lwów, Jacek Potocki, Jacek Rajski, Roman Rubin, Leszek Sawicki.

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca, zastrzega sobie prawo skracania i opracowywania materiałów.

Adres Redakcji: 50-107 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12 II p. tel. 44-26-95

Wydaje: Regionalny Ośrodek Programowy PTTK we Wrocławiu.

Druk: ZMP WiMBP Wrocław zam. Nakład 2000 + 70 egz. Zam. 109/91

Cena numeru 5000 zł. Prenumerata roczna 24 000 zł. Numery archiwalne nabyć można w Redakcji.

## Z przewodnikiem (pisanym) na szlaku

Ponieważ kupuję wszystkie - bez względu na ich jakość - publikacje dotyczące Sudetów, oczywiście o ile takie publikacje zauważę, w listopadzie 1990 r. kupiłem również przewodnik pt. "Góry Kaczawskie", spółki autorskiej Janusza Czerwińskiego i Krzysztofa Mazurskiego. Dotychczas nie było przewodnika po tej grupie górskiej, oczywiście nie licząc ujęcia jej w "Sudetach Zachodnich" tejże spółki. Na pewno przewodnik taki był potrzebny, ale po zapoznaniu się z jego treścią nasuwają się pewne zastrzeżenia. Ogólnie rzecz biorąc, opis Gór Kaczawskich zajmuje tylko około trzeciej części przewodnika, reszta to teren nie związany z tytułem. Nawet na okładce widnieje zdjęcie Wlenia, który leży na Pogórzu Kaczawskim.

Już we wstępie natrafiłem na dość nietypowe określenia czasów przejścia: zaraz, po chwili, wkrótce. Autorzy co prawda podają, że te wszystkie określenia nie przekraczają 10 minut, ale to żadna pociecha, gdyż w praktyce wygląda to różnie. Również określenia "lewy", "prawy" mogą wprowadzić w błąd. O ile zrozumiałe jest takie określenie w stosunku do kierunku biegu rzeki, jeżeli zaznaczy się to, natomiast niejasne jest, jakiego wylotu doliny dotyczą te określenia - górnego, czy dolnego.

W części ogólnej Autorzy sięgają daleko poza obręb Gór Kaczawskich. Na 43 miejscowości opisanych w "ABC miejscowości", aż 26 leży poza Górami Kaczawskimi. Dotyczy to również tras turystycznych, z których wiele sięga daleko poza obszar Gór Kaczawskich, a niektóre zupełnie nie dotyczą tych gór, jak np. dojście z Jeleniej Góry do Pilchowic, z Jeleniej Góry przez Koziniec do Maciejowej, czy Doliną Kaczawą.

Skoro już kupiłem przewodnik, postanowiłem z niego skorzystać. Wybrałem się szlakiem żółtym z Płoniny do Komarna. Przy uwagach dotyczących opisu tej trasy będę się trzymał kierunku podanego w przewodniku. Szlak żółty (trasa 20) zaczyna się w Komarnie koło kościoła, w pobliżu przystanku WPK Komarno-kościół, ale około 600 m powyżej, również przy szlaku jest jeszcze jeden przystanek Komarno-pętla. Czy

rzeczywiście skrzyżowanie ze szlakiem niebieskim jest koło samotnego gospodarstwa, skoro kilkadziesiąt metrów od niego są następne? Na pewno jest to najwyższe położone gospodarstwo w Komarnie.

Początek następnego odcinka (trasa 17) z Wojcieszowa do Komarna podobno jest podany w opisie Wojcieszowa, ale żadnego punktu początkowego tam nie znalazłem. Rzeczywiście szlak żółty w Wojcieszowie skręca z ulicy Bolesława Chrobrego w Robotniczą. Po wyjściu z Wojcieszowa, przed lasem jest rozwidlenie trzech dróg, z których dwie asfaltowe prowadzą do kamieniołomów. Rozwidlenie to położone jest na północno-wschodnich zboczach Mesznej. Lewa droga asfaltowa wiedzie do kamieniołomów na Połomie. Szkoda, że Autorzy opisując Połom nie podali, ile czasu trzeba na dojście do niego i czy można zwiedzać podane obiekty. Szlak wchodzi do lasu drogą prosto, a następnie kilkoma zakosami wyprowadza na Przełęcz Komarnicką, powyżej lasu. Przyznaję, że nie zauważyłem skałki Cisowiec, natomiast widziałem po lewej stronie szlaku, tuż przed wyjściem z lasu na Przełęcz Komarnicką, bardzo ciekawą skałkę nie oznaczoną na mapie Gór Kaczawskich. Szkoda, że nie ma w przewodniku opisu panoramy z Przełęcz Komarnickiej, jest bardzo ciekawa.

Następny odcinek (trasa 1) prowadzi z Wojcieszowa do Płoniny. Podana w przewodniku ulica Główna jest rzeczywiście główną, gdyż prowadzi przez cały Wojcieszów, tylko, że jest to ulica Bolesława Chrobrego. Szlak rzeczywiście skręca w lewo w ulicę Górnicy. Dalej w przewodniku jest opis Miłka, tylko nie ma jak do niego dojść. Zakręty za leśniczówką to krótkie S już pod samymi Radzimowicami i właśnie przy tych zakosach, po prawej stronie szlaku resztki szybu "Arnold". W miejscu tym skarpa prowadzonej wąską dolinką drogi jest podmurowana. Za Radzimowicami skałka Księży Kamień leży po lewej stronie szlaku. Za skałką szlak skręca w lewo i połączy drogą obok transformatora i kościoła schodzi do Mysłowa. Przez Mysłów szlak prowadzi ponad

kilometr, a więc "chwilkę". Określenie, że szlak skręca na wysokości Oselki jest ogólnie mówiąc bardzo ogólnikowe, gdyż Oselka widoczna jest od Radzimowic po Kaczorów, a więc gdzie jest to "na wysokości Oselki"? Od szlaku do Grodzika jest ponad 500 m i to przez pola, a więc którąś dojdę do jego podnóża i z której strony są te diabazowe lawy poduszkowe? Za Mysłowem szlak prowadzi obok nieczynnego wapiennika i tu należałoby bardziej dokładnie opisać przebieg szlaku, gdyż ze względu na trudności ze znakowaniem można pójść nie tam, gdzie on prowadzi. Karczmińska szlak nie pozostawia z prawej strony, tylko przechodzi przez te skałki. Za Karczmińskiem, już w lesie, po około 15 minutach z prawej strony szlaku znajduje się Czerwona Skała, a kilkadziesiąt metrów dalej odchodzi droga do Diabliaka. Dojście od szlaku do Diabliaka zajmuje około 15 min. (ładnie mi "zaraz") i prowadzą do niego znaki dojściowe - żółte trójkąty. Szlak wychodzi z lasu i połączy schodzi "ku widocznym już blisko zabudowaniom Płoniny". A gdzie dalej prowadzi szlak żółty w Płoninie? A jeżeli ktoś zechce zacząć wędrowkę w Płoninie, to jak dojść do szlaku?

Tylko tyle mam uwag do trasy Płonina - Komarno. Ponieważ w 1990 r. sporo wędrowałem po Górach Kaczawskich, podobne uwagi mógłbym poczynić i do pozostałych opisów tras, ale zajęłoby to zbyt dużo miejsca. Wyczytałem w "Na Szlaku", że jest to pierwszy z serii przewodników "pasmowych", a więc czekają nas dalsze. Czy też w tym stylu?

ZBIGNIEW GARBACZEWSKI

Przepraszamy!

Redakcja serdecznie przeprosza autorów i czytelników za wszelkie chochliki, które zdarzyły się w numerze 1/26 naszego pisma. Korzystając z techniki komputerowej - człowiek okazał się słabszy.

# W Świętej Katarzynie

Turystyka świętokrzyska narodziła się właśnie tu, we wsi u stóp Łysicy. Mimo woli nasuwa się tu porównanie z Zakopanem, choć oczywiście skala jest zupełnie inna, choćby z tego powodu, że Rysy mają 2499 m, a Łysica tylko 612 m n.p.m.

Pięć kilometrów od Świętej Katarzyny leżą Ciekoty - wioska, w której Stefan Żeromski spędził dzieciństwo. Bywał oczywiście i w Świętej Katarzynie, wędrował po okolicznych górach, a ostatnią książkę czy raczej książeczkę, jaką napisał, była "Puszcza Jodłowa". To właśnie Żeromski pierwszy spopularyzował ten region.

Urokowi Gór Świętokrzyskich uległ później Aleksander Janowski, założyciel Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. W 1910 r. założył on pierwsze w Świętej Katarzynie schronisko. Było to przypuszczalnie w ogóle pierwsze w Polsce schronisko poza Sudetami i Karpatai. Po nim przyszedły następne: w 1922 r. powstało prywatne schronisko rodziny Działkowskich, a w 1958 r. Dom Wycieczkowy PTTK.

Powód powstania akurat tu pierwszej bazy noclegowej w Górach Świętokrzyskich był prosty: Święta Katarzyna jest doskonałym punktem wyjścia na Łysicę (przez Janowskiego zwana Górą Świętej Katarzyny), jest ona ponadto miejscem "owianym legendami", miejscem, gdzie bywał Żeromski, gdzie stoi "starożytny", jak to dawniej mówiono, klasztor.

Początki Świętej Katarzyny nie są jednak aż tak odległe. Sanktuarium pogańskie (wbrew temu, co niektórzy twierdzą) ani tu, ani na Łysicy nigdy nie istniało. Brak na to jakichkolwiek dowodów. Jeszcze w XV w. teren obecnej wioski zajmował las, ale był to las szczególnie - Puszcza Jodłowa. Była ona wówczas własnością znanego klasztoru Benedyktynów na Świętym Krzyżu (czyli Łysej Górze). Benedyktyni tu właśnie założyli w końcu XIV w. erem, przy którym przypuszczalnie powstała kaplica pod wezwaniem św. Katarzyny. Erem ten miał znajdować się w miejscu, gdzie obecnie stoi kościół, a przestał on istnieć w 1437 r. W 1477 r. biskup krakowski osadził tu bernardyńców. Takie były początki Świętej Katarzyny, a przez wiele jeszcze lat tworzyły ją tylko kościół i klasztor stojące na polanie w lesie. Gdy w 1814 r. spłonął klasztor Bernardynek w Drzewicy, siostry czasowo znalazły schronienie w Rusinowie, a w maju 1815 r. zostały umieszczone właśnie w Świętej Katarzynie, gdzie znajdują się do dzisiaj.

Turysta, idący od zachodu czerwonym szlakiem świętokrzyskim, dociera najpierw do bezimiennej przełęczy dzielącej Łysogórę na dwie wyraźne części - wyższą, zalesioną, z Łysicą i Łysą Górą, oraz niższą, niezalesioną, zwaną Krajeńskim Grzbietem. Przełęcz ta jest jednym z najlepszych w Górach Świętokrzyskich punktów widokowych. Tu szlak skręca w lewo w dół i prowadzi szosą Kielce - Bodzentyn. Po drodze mija się monumentalny Pomnik Partyzantów Ziemi Kieleckiej, dzieło Zofii Wolskiej - uczennicy Ksawerego Dunikowskiego. Postawiono go

chyba tutaj tylko ze względów propagandowych, gdyż partyzanci polscy w czasie II wojny światowej unikali Puszczy Jodłowej - zbyt łatwo Niemcy mogli otoczyć ten niezbyt duży, odizolowany maszyn leśny. Nieco dalej, na skraju lasu, znajduje się drewniana kaplica - według legendy tak jak i inne podobne kaplice (jest ich w Świętej Katarzynie pięć) stoi na miejscu dawnego eremu.

Po prawej w dole wznosi się pomnik ufundowany przez uczennice z Kielc, odsłonięty uroczysto 24.05.1930 r. Jest na nim umieszczony słynny cytat z Żeromskiego: "Puszcza jest niczyja - nie moja ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta!". Cytat ten pochodzi z "Puszczy Jodłowej", książki tak zadedykowanej przez autora: "Panu Aleksandrowi Janowskiemu wyraz braterskiej czci".

Dom Wycieczkowy PTTK działa od 1958 r. W jego architekturze widać wpływy polskiej architektury pałacowej. Tak jednak, jak jest ładny oglądany z daleka, tak jest zaniedbany, gdy bliżej go poznamy. W dalszym ciągu jednak stanowi jeden z niewielu obiektów noclegowych w Górach Świętokrzyskich. W pobliżu stoi drewniana, duża willa - to wspomniane już dawne schronisko Działkowskich. Miało 40 miejsc noclegowych. Wymieniane było jako schronisko PTKraj. (patrz np. "Ziemia" nr 5-6 z 1939 r.), własnością PTK jednak nigdy nie było. Funkcję schroniska pełniło z przerwami również po wojnie.

W lesie po prawej, przed kościołem znajduje się kilka miejsc godnych odwiedzenia. Przede wszystkim tzw. kaplica Żeromskiego - murowana, otynkowana, wzniesiona na początku XIX w. Wewnątrz znajduje się autentyczny, wyskrobany w tynku w 1882 r. podpis późniejszego sławnego pisarza oraz jego kolegi z tej samej II klasy kieleckiego gimnazjum Jana Strożeckiego. Gdy powstawały te podpisy, obok był widoczny inny napis: "Szczyt moich cierpień zrównał się z tą górą 1863". Napisu tego już nie ma, ale w jednej z dwóch mogił znajdujących się przed kaplicą ma spoczywać powstaniec, który śmiertelnie ranny zmarł w tej kaplicy. Wejźmy dalej w las (szlakiem czerwonym). Napotkamy po drodze skromny pomnik Żeromskiego z wyrzeźbioną twarzą pisarza, a w pobliżu, przy szlaku na Łysicę, źródło św. Franciszka i dużą, drewnianą kaplicę pod wezwaniem tego świętego. Woda z tego źródła ma właściwości lecznicze. Wezwanie kaplicy (i nazwa źródła) pochodzi stąd, że bernardyńcy, którzy dawniej mieszkali w pobliskim klasztorze, należą do zakonów reguły św. Franciszka. W lesie, po przeciwnej stronie pomnika Żeromskiego, widać inny pomnik i dwie mogiły. To pamiątki po latach ostatniej wojny, kiedy w klasztorze stacjonował pluton żandarmerii hitlerowskiej i tu właśnie rozstrzeliwał mieszkańców okolicznych wiosek. Takich miejsc w Górach Świętokrzyskich jest bardzo wiele.

Dość oryginalna jest koncepcja przestrzenna zespołu klasztorowego. Wejście prowadzi na niewielki dziedziniec otoczony krągkami zwanymi obchodami i z nich

dopiero jest wejście do kościoła (zwykle zamknięte dekoracyjną kratą z herbem zakonów reguły św. Franciszka) oraz do klasztoru. W klasztorze obowiązuje ścisła klauzura. Mury budynków pochodzą z końca XV w., wejściowy portal jest renesansowy, krużganki wczesnobarokowe, całość jednak jest w zasadzie bezstylowa. Jest to wynikiem pożaru z 11.05.1847 r. Ocalała wówczas tylko zakrystia, cele zakonne i korytarze. Całość została odbudowana i urządzona na nowo w 1949 r. Sprowadzono wówczas ołtarze z Nowej Słupii, część sprzętów wykonano na nowo. Jednak i to nie przetrwało do dziś, gdyż w latach 1982-1986 wnętrze kościoła w praktyce urządzono od nowa. Usunięto wówczas ołtarze, szczytową ścianę prezbiterium wyłożono od wewnątrz piaskowcem, umieszczając na niej dużą kopię krzyża św. Franciszka. Oryginał tego krzyża, cenne dzieło sztuki bizantyjskiej, znajduje się w Asyżu. Przed krzyżem stoi kamienny ołtarz "watykański", jak się zwykle ostatnio nazywa takie ołtarze. Z dawnego wyposażenia przetrwała m.in. drewniana figura św. Katarzyny, przypuszczalnie z XIX w. Ta przebudowa wnętrza kościoła, mimo że powstały dzieła sztuki o wybitnych walorach artystycznych, zmieniła jednak nastrój tej puszczańskiej świątyni.

W pobliżu kościoła są miejsca, z których doskonale widać Dolinę Wilkowską i Pasma Klonowskie. Dostrzec też można z oddali wielkie paraboliczne anteny, częściowo ukryte w lesie. To nowoczesna Stacja Łączności Satelitarnej w Psarach - przykład techniki XX w. w Krajinie Żeromskiego.

Za pawilonem księgarni stoi skromny drewniany parterowy dom z wiszącą na nim skrzynką pocztową (jeszcze kilka lat temu była tu poczta). Drewniana tablica informuje, że w tym właśnie domu znajdowało się pierwsze schronisko PTKraj., założone przez Aleksandra Janowskiego w 1910 r. Tablica ta została ufundowana w 1983 r. przez Oddział Świętokrzyski PTTK w Kielcach. Nazwa "schronisko", jakiej się powszechnie używa, chyba nie jest zbyt dobra. Była to zaledwie jedna izba z dwoma łózkami. No cóż, takie były początki. Dziś zdarzają się przypadki, że na dużym parkingu przed Domem Wycieczkowym PTTK w Świętej Katarzynie brakuje w maju miejsca dla autokarów...

MARIA I PRZEMYSŁAW PILICHOWIE



## LISTY, OPINIE, POLEMIKI

### Jubileusz Oddziału na Pogórzu Kaczawskim

Złotoryja to 18-tysięczne miasto nad Kaczawą, położone w odległości 22 km od Legnicy i 38 km od Jeleniej Góry. Prawa miejskie otrzymała od księcia Henryka I Brodatego. W XIII i XIV w. słynęła z wydobywanego złota i dobrze prosperującego rzemiosła. Wojny husyckie, a później wojna 30-letnia i częste pożary przyczyniły się do znacznego upadku Złotoryi. Dopiero w XIX w. rozpoczął się powolny, ale znaczący rozwój gospodarczy miasta. Druga wojna światowa zahamowała jego rozwój, uzależniony od starego Zagłębia Miedziowego. Nowopowstałe zakłady miedzi w Nowym Kościele, Iwinach i Wilkowie z każdym rokiem wydobywały coraz więcej rud miedzi. W tym okresie Złotoryja stała się wielką sypialnią Zagłębia.

Już w latach pięćdziesiątych w Złotoryi powstało zapotrzebowanie na zorganizowaną turystykę. Mieszkańcy grodu samorzutnie i indywidualnie organizowali wycieczki do najpiękniejszych zakątków Dolnego Śląska, a niektórzy wyjeżdżali dalej, przede wszystkim na Mazury, zaś zapaleni "górale" jechali podziwiać piękno Tatr i Beskidów. W roku 1965 powstał Zarząd Oddziału PTTK w Złotoryi, którego organizatorami byli Helena Bańska, Roman Miller i kilku innych działaczy. Przez trzynaście lat Oddział nie miał swego lokalu i dopiero w 1978 r. Urząd Miejski przydzielił pomieszczenie przy ul. Solnej 11. W 1987 r. wraz z BORT przeniósł się do kamieniczki w Rynku 1.

Złotoryjski BORT należy do najlepiej zorganizowanych biur turystycznych na Dolnym Śląsku. Prowadzi sklep z pamiątkami i sprzętem sportowo-turystycznym, zakupił też autokar i od stycznia 1990 r. prowadzi punkt Toto-Lotka. Romuald Romanowski - obecny dyrektor BORT, nawiązał stosunki z biurem turystycznym w Holandii i Związku Radzieckim. Od kilku lat grupy Holendrów przybywają do naszego kraju. Zwiedziły one już Małopolskę z Krakowem i Wieliczką, Warszawę, Łódź, Jelenią Górę, często przebywają też przez 2-3 tygodnie w Tatrach (Zakopane). Z Polski do Holandii zorganizowano już dwie wycieczki, które przybliżyły Polakom "Kraj tulipanów" - państwo ludzi rzetelnej i uczciwej pracy. BORT, oprócz tego organizuje wycieczki krajowe i zagraniczne - najwięcej do Węgier, Austrii i Czechosłowacji.

Prezesem Oddziału PTTK w Złotoryi jest Jerzy Zdyb - długoletni i ceniony przewodnik turystyki pieszej. Obecnie prowadzi on 158 osobom, w tym ponad 120 uczniom szkół podstawowych i Średnich. Działalność 11 kół i 5 komisji problemowych: - Młodzieżowa (przew. Paweł Wollny), - Turystyki Pieszej (przew. Helena Bańska), posiada ona 2 kluby "Łaziki" i "Puzony", - Turystyki Rowerowej (przew. Henryk Stachowski), - Turystyki Górskiej (przew. Tadeusz Laurowski), - Kół Przyzakładowych (przew. Ryszard Jaźwiński).

Zasłużonymi działaczami PTTK na tym terenie są Helena Szalas, Henryk Stachowski - organizator wielu imprez kolarskich i rajdów pieszych "Warta", "Wielisławka" i "Grodziec", Bogdan Kurzawski - człowiek sukcesu i oddany turystyce pieszej, Paweł Wollny - społecznik, grafik i organizator szkolnych rajdów pieszych, Helena Bańska, Tadeusz Laurowski, Bożena Ziętek, Jan Wojski, Kazimierz Litwin, Jerzy Zdyb, Roman Gorzkowski i wielu innych.

Ryszard Jaźwiński

### Szanowny Panie Redaktorze!

Ucieszył mnie pierwszy oddźwięk na mój list zamieszczony n-rze 3 - 4/21-22 "Na Szlaku", w którym poruszyłem temat historycznego nazewnictwa Sudetów. Niestety, autor tej polemiki, Pan Jacek Potocki, którego artykuł opublikowano w n-rze 6/24, zupełnie nie zrozumiał mojej wyraźnej intencji, jaką było jedynie przypomnienie historycznej nazwy poprzedzającej dzisiejszą nazwę Sudety oraz informacja o niektórych najstarszych źródłach wymieniających "Góry Ryejskie". Należy się więc krótkie uzupełnienie.

Moi przaprzedkowie ze strony Ojca do Wielkopolski przywędrowali ze Śląska Opolskiego, ja zaś jestem już rdzennym Poznaniakiem, o czym świadczy choćby gwara, którą w języku potocznym posługujemy

się od pokoleń. Dobrze pamiętam, jak moja niezręczna już Babcia mówiła często: "wedle czego chłopyszku stele jeździsz wew te ryejskie góry; ino uważaj na sie i nie leż na te wielgachne kamloty, bo jeszcy spryśniesz..." Jakże wymowny to przykład archaizmu zawartego w gwarze. Nie zamierzam jednak przekonywać mieszkańców innych regionów Polski, aby na piwnicę mówili "sklep" i na Sudety "Góry Ryejskie".

Pragnę tylko przypomnieć, że związki Wielkopolan ze Śląskiem i Śląskimi górami sięgają bardzo dawnych czasów, w porównaniu z którymi niczym jest te kilkadziesiąt lat, jakie minęły od 1945 roku, czyli od osiedlenia się na tej ziemi Polaków - przybyszów z najróżniejszych odległych terenów. Gdy starszy człowiek na pytanie: skąd pan jest - odpowie - "tajoj z Wrocławia", wcale nie wpadam w osłupienie, jeśli ja mówię "ryejskie góry, nie musi to też dziwić.

Nie zamierzam zatem polemizować z Panem Jackiem Potockim. Jego obszerne uwagi dotyczące mojego artykułu i wzburzenie, że śmiem pisać o starej nazwie najbliższych nam gór, przyjąłem z dużym wyrozumieniem, gdyż tak samo zdaję sobie doskonale sprawę z faktu, że następne pokolenia mieszkańców Dolnego Śląska, zrodzone z niedawnych osadników, nigdy nie przywrócą starych, przebrzmiałych, archaicznych i gwarowych nazw. Nie rokuje też szybkiej odbudowy tradycyjnych więzi i wspólnych cech, które kiedyś łączyły oba nasze regiony, takich jak np. pracowitość i gospodarność.

Uważam jednak, że Pan Jacek Potocki, jako przewodnik sudecki, powinien głęboko zastanowić się nad źródłami wiedzy o pochodzeniu nazw i rzetelnie przekazywać turystom informacje o najstarszych nazwach Sudetów, po których oprowadza wycieczki. Inaczej będzie to ze szkodą nie tylko dla turystów, ale przede wszystkim dla dobrze rozumianego krajoznawstwa.

Z poważaniem  
V-cc Prezes Klubu Sudeckiego  
PTTK w Poznaniu  
Lech Rugała

### Czy tylko pomyłki?

"Gościniec" jest czasopiśmie pisany niemal wyłącznie przez profesjonalistów, przeznaczonym dla pasjonatów i hobbistów, a także początkujących turystów i krajoznawców. W ostatnim czasie zaniechano publikowania listów do redakcji, stąd można usłyszeć krzącą wśród turystów żartobliwą uwagę, że "Gościniec" jest już nie tyle czasopiśmie turystów i krajoznawców, ile miesięcznikiem samej redakcji "Gościńca".

Jestem przekonany, że redakcja "Na Szlaku" lepiej rozumie ważną kulturalną rolę wypływającą z dyskusji na łamach prasy, o czym świadczy stała rubryka "Trybuna Czytelników" w naszym dwumiesięczniku. Łączność między czytelnikami, polegająca na wymianie opinii i prezentowaniu poglądów, zawsze wpływa korzystnie na zainteresowanie czasopismami i pomimo wysokiej ceny zachęca do zakupu.

Niestety, trzeba wyraźnie stwierdzić, że w dobie zniesienia cenzury i otwarcia szerokiej możliwości prowadzenia interesujących polemik na łamach prasy, także turystycznej, "Gościniec" zamyka się w wąskim kręgu i nie pozwala na wytykanie błędów zgłaszanych przez czytelników. A właśnie o błędach należy pisać. O błędach popełnianych teraz i w odległej przeszłości, o konsekwencjach, jakie wynikają z ich przemilczania, które owocują potęgowaniem kolejnych błędów i nie kończącym się łańcuchu pomyłek. A dlaczego tak się dzieje? Przytoczę klasyczny przykład nieporządku wywołującego do dziś spory chaos.

Otóż po 1950 r. przemianowano powołanych w 1935 r. przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie przewodników GOT na przewodników GOT. Zastosowano modne wówczas określenie "przodownik", używane wobec ludzi wykonujących coraz wyższe normy w pracy i zwiększających wydajność, co, niestety, najczęściej szło w parze z brakorzębnością. To samo słowo, zawarte w mianowanym przez ówczesną władzę tytule: przodownik pracy socjalistycznej, zastosowano (o zgrozo!) dla kadry turystycznej. I choć turystyka nie ma w swoich założeniach bezpośredniego związku z pracą zawodową, lecz łączy się z wypoczynkiem, czyli przeciwieństwem pracy, to jednak już ponad 40 lat

(dokończenie na str.6)

## Czy tylko pomyłki?

(dokończenie ze str.5)

słowo to uparcie ciąży na hobbistach, którym bynajmniej nie w głowie jakakolwiek wydajność w turystyce czy bezsensowne pożeranie kilometrów i bieganie po szlakach lub wyśrubowane normy zwiedzania obiektów zabytkowych. Stało się tak zapewne za sprawą odgórných "sugestii" decydentów ówczesnej władzy, która nie przewidywała sprzeciwu.

Myślę, że nie jest dziełem przypadku, iż piszący artykuły w tak specjalistycznych czasopismach, jakim jest "Gościńiec", dość często zamiast przodownik piszą po prostu - przewodnik. Także w ostatnim, listopadowo-grudniowym numerze "Gościńca" autorka artykułu na s. 29 wymieniła Bogdana Robaszewskiego jako przewodnika turystyki górskiej (formalnie powinno być: przodownik turystyki górskiej). Podobne przykłady można znaleźć w wielu numerach "Gościńca", nie mówiąc już o innych fachowych publikacjach i czasopismach turystycznych i innych publikacjach oraz prasie codziennej, gdzie roi się od takich pomyłek w artykułach wymieniających kadrę PTTK.

Czy są to błędy, czy też owo miano "przodownik" zwyczajnie nie chce się przyjąć, a to z tej przyczyny, że jest określeniem niezgodnym z etymologią języka polskiego dla właściwego nazwania tej funkcji.

Zastanówmy się zatem poważnie nad sensem dalszego, sztucznego podtrzymywania tej kompromitującej nomenklatury.

Przeciętny turysta zupełnie nie panuje nad tym pozbawionym logiki chaosem określeń używanych w PTTK, gubią się dziennikarze i redaktorzy, szczególnie zaś wyglupiona jest młodzież, która czyta prasę, a my mamy ją przecież wychowywać i uczyć porządku.

Należy zatem dostrzec bardzo istotny fakt, że turyści powszechnie nie widzą różnicy między przewodnikiem traktującym turystykę i krajoznawstwo z ambicją zawodowca (w rzeczywistości przeważająca większość to hobbisci a pasjonatem przewodnictwa, hobbystą określanym dziś niedorzecznym mianem "przodownika").

Najwyższa więc pora uporządkować te sprawy i przywrócić przedwojenne miano "przewodnika GOT" oraz zastosować je odpowiednio w innych dyscyplinach turystyki kwalifikowanej. Jest to bez wątpienia jedyny sposób dla wyeliminowania powtarzających się błędów i ustawicznych nieporozumień.

Lech Rugała

P.S. Na marginesie niniejszego listu pragnę zwrócić uwagę na fakt, iż Sejm RP nie przywrócił dla policji przedwojennego stopnia "przodownik" z uwagi na negatywne skojarzenia związane z tym wyrazem, od którego ja również się odzegnuję.

## Setki w kieszeniach turystów

Podczas XIX ogólnopolskiej Konferencji Kartograficznej w Warszawie oceniono stan rozwoju polskiej kartografii. Jednym z głównych wniosków było żądanie szybszego tempa powrotu map do ich użytkowników, czyli tam, gdzie powinny być bez przerwy. Mapa to jeden z głównych podręczników nauki o własnym kraju, to szansa lepszego poznania jego kształtu i różnorodności fizjograficznej, kulturowej, przeszłości i współczesności.

Ostatnio wznowiono wydawanie map podręcznych pod ogólnym tytułem "Mapa topograficzna Polski" w skalach 1:100 000 i 1:200 000 wydawanych przez Zarząd Topograficzny Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Od stycznia 1990 r. przybywa arkuszy ukazujących centralne rejony kraju, a kolejną rzeczą ukazać się arkusze obejmujące tereny pogórzy i górskie.

Od wielu lat turyści byli takich map pozbawieni. Mit tajemnicy wojskowej przysł w czasach, kiedy wszystko i tak wiadomo, bo za pomocą satelitarnej obserwacji terenu można wyciągnąć o wiele dokładniejsze i szybsze wnioski o tym, co się dzieje na ziemi. Postulaty turystów brzmiały od wielu lat na rozmaitych naradach. Ideałem była przedwojenna "setka", którą poniektórzy zapomnieli, a najmłodszy turyści po prostu nie mają pojęcia, jak wygląda i do czego służy. Pojawia się ogromny problem nauki... czytania dokładnych map naszego kraju!

Po prawie 50 latach przerwy mapy topograficzne w skali 1:100 000 stają się powszechnie dostępne. Jak dotąd, najbardziej użyteczne było wydanie kompletu map - "Tatry Polskie" na 14 arkuszach z 1984 r. Zarząd Topograficzny SzG WP i Wojskowe Zakłady Kartograficzne zapowiadają kolejny komplet "górski" - mają to być Karkonosze i Góry Izerskie. Na jednym z spotkań z wydawcami, dyrektorem WZKart. i Szef Służby Topograficznej WP zapowiedzieli ścisłą współpracę z aktywistami turystyki kwalifikowanej PTTK. Z tej możliwości skorzystali już koledzy piechurzy z

Radomia, dając wskazówki odnośnie doskonalenia wizerunku interesujących ich terenów.

Nic nie stoi na przeszkodzie, aby taka współpraca, co obiecywał również obecny na tym spotkaniu przedstawiciel Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK, w większym niż dotąd stopniu dotyczyła arkuszy map obejmujących także tereny górskie. Współpraca taka mogłaby przybrać postać konsultacji, uzgodnień treści map, nanoszenia odpowiednich informacji, szczególnie interesujących turystów górskich (szlaki, schroniska?), wszak powinniśmy, myślę o turystach wędrujących po górach, zadbać o swoje interesy. Nie obawiajmy się wsadzać nos w... swoje sprawy! Minęły bezpowrotnie czasy, kiedy za posiadanie mapy kartograficznej groziło pośądzenie o szpiegostwo i skazanie na karę więzienia - a bywały takie przypadki, które na długo odstraszały turystów od posługiwania się mapami przedwojennymi i wędrowania.

Nie mam pewności, kiedy ten artykuł ukaże się w druku - nie mogą zatem zapowiadać kolejnych arkuszy "setek" obejmujących tereny górskie. Jest w tej kwestii wiele jeszcze trudności, choćby z powodu tak istotnego jak ten, że nasze góry to tereny pogranicza, a wydanie dokładnych map takich rejonów wymaga zgody drugiej strony. Mam nadzieję, że nie będą trwały długo (choć kto to może wiedzieć na pewno?) uzgodnienia. Wszak poza południową granicą kultura turystyki uprawianej z mapą w rękę jest nieco dłuższa niż u nas, ale przeżywalniśmy do niedawna te same trudności i obostrzenia czujności.

W czasach, gdy książka staje się coraz większym luksusem, także turystyczna, gdy tak trudno o jej aktualność, mapa okazuje się podręcznikiem o wiele łatwiejszym do osiągnięcia i dzięki przystępnej cenie - powszechnym narzędziem turysty, jak plecak, buty, namiot czy ... puszka konserw. I dobrze, że tak jest, że na każdym niemal kroku - na straganie czy w księgarni - mapa nie tylko wzbogaca ładę i gamę kolorów okładek. Mapa staje się łatwa do zdobycia. Oby ten stan trwał już codziennie.

TOMASZ KOWALIK

## Demony i inne straszdyła

Od początku niemal gości na naszych łamach Duch Gór, przekazujący swoje opinie i ciekawostki piórem specjalnego rzeczownika. Ale nie tylko on krąży wokół nas. By więc Karkonosz nie czuł się samotny, zamierzamy przedstawić, co grozi nam na każdym kroku. Może znając metody podstępny i straszania owych piekielnych mocy zdołamy się ich ustrzec i będzie nam nieco lżej w życiu i na szlaku? Nie wiadomo, ale warto się z tym zapoznać. Tak więc co numer odcinek.

## Nocnice

Nocnice, zwane również płaczkami i noclicami, żyły w głębi lasu, a w nocy przychodziły do chałup. Zostawały nimi kobiety zmarłe po zapowiedziach, a przed ślubem. Dlatego najczęściej widywano je jako istoty długowłose tańczące na chudych nogach. Czasami upodabniały się one do ptaków.

Ich zajęcie to nękanie i straszanie małych dzieci oraz powodowanie ich płaczu prowadzącego do bezsennych nocy. Nawiedzały one również chorych zwiastując ich śmierć. Bronić się przed nimi można było w dwojaki sposób. Albo poprzez wygłaszanie specjalnych formuł magicznych, albo poprzez obieganie chałupy dookoła przy równoczesnym wymawianiu stosownego tekstu.

KRZYSZTOF TĘCZA

**Następny numer ukaże się  
w końcu czerwca.**

A w nim dodatek :

**BAZY NAMIOTOWE  
W GÓRACH**

# OBWAROWANIA MIAST DOLNOŚLĄSKICH

## Część II

W 1 poł. XVI w. następuje kolejna rozbudowa, względnie modernizacja i reperacja umocnień miejskich. Akcja ta wynika z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze, broń palna zrewolucjonizowała już całkowicie sposób prowadzenia wojny - zmieniła taktykę natarcia i obrony. Średniowieczne urządzenia nie mogły już gwarantować pełnych sukcesów obronnych - były przestarzałe. Po drugie, zwycięska armia turecka pod wodzą Sulimana (Sulejmana) zaczęła być groźna dla ziem śląskich. Zorganizowani w Nysie w 1526 r. podczas narady obronnej księżta śląscy postanowili przygotować miasta i zamki do obrony przed Turkami. Wzmacniano istniejące mury, pogłębiono i poszerzono fosy. W słabszych lub szczególnie wrażliwych punktach (np. bramy) umocnień wzniesiono silnie wysunięte do przodu basteje z licznymi strzelnicami otwierającymi szerokie pole ostrzału z flanki.

Najbardziej interesujące przykłady umocnień bastejowych zachowały się w Jaworze (tzw. Zamek Anioła), w Bolesławcu (budynek obecnego Muzeum), we Wrocławiu (częściowo zrekonstruowana basteja Hioba przy hotelu "Panorama"), w Strzegomiu (kaplica Św. Antoniego), Jeleniej Górze (kaplica Św. Anny), Niemczy, Lwówku Śl., Świdnicy i Kozuchowie. Dachy wież i niektórych budowli zabezpieczono przed zapalającymi pociskami zmieniając ich konstrukcję (powstał mianowicie tzw. dach pograżony) i osłaniając ozdobnym murem - tzw. attyką - na Śląsku złożonym przeważnie z segmentów koła i motywu tzw. "jaskółczego ogona". Podobne zwieńczenie otrzymały wówczas liczne baszty (np. w Ząbkowicach Śl.), wieże bram miejskich (np. w Złotoryi), zamki (np. Chojnik, Bolków), ratusze (np. Otmuchów), kościoły (np. słynny kościół farny w Paczkowie), a nawet domy mieszkalne (np. "Dom pod Koroną" przy Rynku wrocławskim). W pojedynczych przypadkach wznoszono oddzielnie cylindryczne - niemal wolnostojące basteje daleko wysunięte przed bramą miejską (np. w Sycowie około 1578 r.) lub bardziej rozbudowane urządzenia zbliżone nawet do barbakanów (np. Kozuchów).

W XVII w., zwłaszcza w jego pierwszej połowie, ulepszone i zmodernizowane średniowieczne obwarowania miejskie są jeszcze potrzebne. Świadczą o tym informacje o przeprowadzanych tu i tam naprawach i wzmocnieniach (np. Dzierżoniów - 1633 r., Lwówek Śl. - 1620 r., Strzegom - 1683 r.). Świadczą o tym również rozkazy wrogich - szwedzkich generałów, nakazujących wyburzenie umocnień zdobytych w czasie wojny trzydziestoletniej miast śląskich (np. Oleśnica, Wołów). Pod koniec XVI w. pojawia się jednak nowy, bardziej skuteczny system fortyfikacji bastionowych. Tam, gdzie usypuje się i wznosi bastiony, zaczynają zniknąć średniowieczne mury obronne (np. w Oławie po 1633 r., w tym samym mniej więcej czasie we Wrocławiu). Pojedyncze zespoły, bądź ich elementy bywają jeszcze utrzymywane i

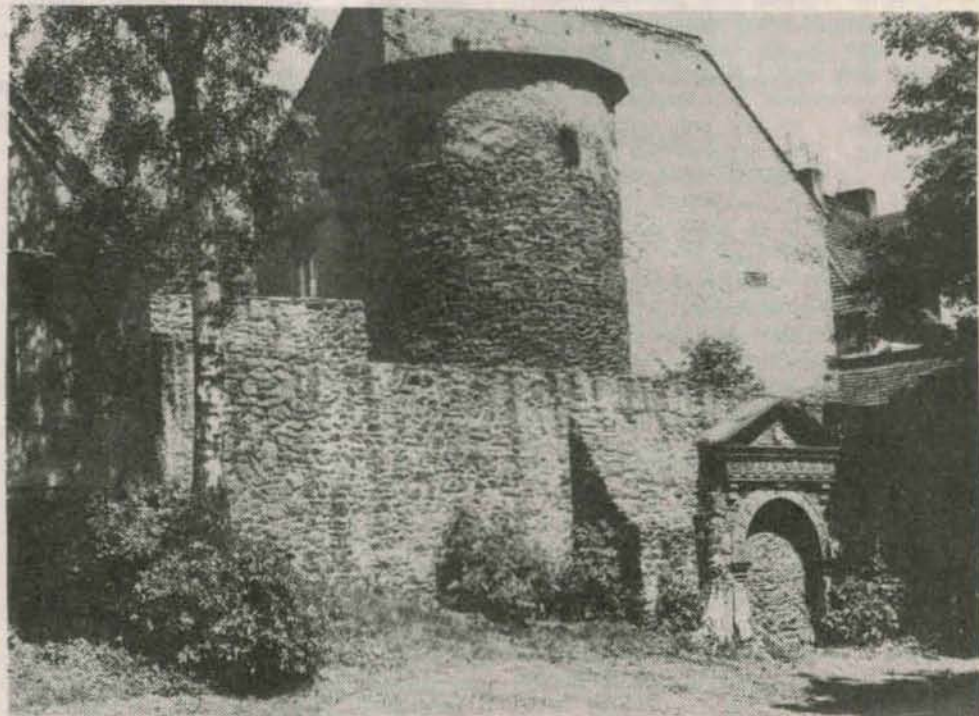
konserwowane nawet w XVIII w. Łączy się to także z innym, niż obronne wykorzystywanie tych murów (granice własności, magazyny, areszty w basztach itp.). Niemniej jest to już koniec militarnej przydatności średniowiecznych urządzeń obronnych. W 2 poł. XVIII w. zaczynają się planowe rozbiórki murów i baszt, niwelacja fos i wałów (Środa Śl. - 1765r., Ząbkowice Śl. - 1780 r., Wołów - 1785r.). Inne fragmenty nie konserwowane niszczyły lub walały się same. Największe akcje rozbiórkowe odbywają się w okresie wojen napoleońskich - zwłaszcza w latach 1804 - 1813 i później w latach 1820 - 1878. W tym czasie zanika większość z wymienionych tu systemów obronnych. Pozostają resztki - nieraz dość rozległe, ale już niekompletne. Przyczynami rozbiórki są: zanik przydatności obronnej burzonych obiektów, ich zły stan techniczny, potrzeba przystosowania miast do żywiłowego rozwoju budownictwa i komunikacji, chęć wygospodarowania dodatkowych terenów i parcel (zwłaszcza jeśli chodzi o fosy i wały), odzysk materiałów budowlanych (cegła, kamień, dachówki).

Na przeszkodzie tym akcjom, niestety, jeszcze nie stała wówczas świadoma i zorganizowana akcja konserwatorska - zabrakło niematerialnego zainteresowania pięknem, historią i wartością dokumentalną tych atrakcyjnych zabytków. Część z nich ocalała bądź na skutek wtórnej adaptacji do celów gospodarczych, technicznych (ściany gęsto zabudowanych oficyn), bądź na skutek nadmiernych kosztów rozbiórki, bądź jako tak czy inaczej rozumiane symbole przestrzenne, związane z historią miast. Zainteresowanie konserwatorskie zaczyna obejmować relikty murów obronnych w początkach naszego stulecia, a zwłaszcza po I wojnie światowej. Podejmowane są sporadyczne

zabezpieczenia, a nawet rekonstrukcje, niestety, nie zawsze najlepiej przeprowadzone (np. Lwówek Śl. około 1935 r. - rekonstrukcja odcinka muru kurtynowego i Bramy Lubańskiej). Zachowane relikty murów są świadkami jeszcze jednej wojny - najgroźniejszej, jaka koło nich przeszła.

W 1945 r. w wielu miastach (np. Bierutów, Głogów, Lubań, Legnica, Strzegom, Nowogrodzice, Nysa, Ścinawa, Strzelin) w czasie ciężkich walk niszczyły wśród innych zabytków również fragmenty średniowiecznych murów obronnych. Ciężkie warunki powojenne uniemożliwiają szybkie i skuteczne zabezpieczenia i prace konserwatorskie. Dopiero w latach pięćdziesiątych, zwłaszcza w okresie 1957 - 1974, odbywa się wiele poważniejszych prac konserwatorskich i zabezpieczających. W latach tych, nakładem służby konserwatorskiej lub poszczególnych władz terenowych, objęto pracami konserwatorskimi fragmenty średniowiecznych obwarowań w około 30 miastach dolnośląskich. Pod kierunkiem autora prowadzono również w latach 1983 - 1985 prace nad ulepszeniem metod konserwacji relikwów założeń obronnych miast dolnośląskich, a także nad formami atrakcyjniejszej ekspozycji przestrzennej tych relikwów. Bazą tych prac był pomysł zastosowań różnych, specjalnie dobranych gatunków roślinności, jako aktywnej biologicznie warstwy zabezpieczającej korony tych relikwów (metoda techniczno-biologiczna). W niektórych miastach zrekonstruowano nawet poszczególne obiekty obronne, jak baszty (Wrocław, Środa Śl., Głogów), basteje (Wrocław, Głubczyce), wieże bramne (Oleśnica - Brama Trzebnicka zwana od XVIII w. - Wrocławską) czy odcinki murów kurtynowych do pełnej wysokości (Wrocław, Środa Śl., Głogów).

Mirosław Przyłęcki



Mury obronne Dzierżoniowa - Foto: Archiwum

# Którędy do Europy?

Zewsząd rozlegają się głosy nawołujące nas, abysmy "wchodzili do Europy" - "gonili Europę" itp. Jedni zalecają bieg lub pogoń, drudzy chcieliby na kolanach wchodzić, ale zawsze dążą do wymarzonej Europy. Coś w tym musi widocznie być, chociaż czy rzeczywiście musimy do tej Europy wchodzić, skoro już w niej jesteśmy. Jeżeli jednak wszyscy się na to decydują, to na pewno nie może tam zabraknąć turystów - bo ktoś w końcu jest bardziej predisponowany do chodzenia!

Zastanówmy się zatem nad sytuacją turystyki górskiej w momencie, gdy Europa rzeczywiście otworzy dla nas swe podwoje. Otóż okazuje się, że z natury rzeczy leżymy w środku Europy i jej góry wysokie znajdują się w naszym zasięgu. Szczególnie dotyczy to mieszkańców Polski zachodniej. Przecież dla mieszkańca Szczecina góry Harzu i Karkonosze leżą w tej samej odległości, a do Monachium jest tylko o sto km dalej niż do Zakopanego (ale za to cały czas autostradą), a Garmisch-Partenkirchen leży bliżej niż Ustrzyki Górne. Z kolei mieszkaniec Wrocławia ma do Wiednia tylko o 30 km dalej niż do Zakopanego, a wyprawa do Ustrzyk jest równoznaczna z dotarciem do Linzu. Czyli jeszcze sto kilometrów i jesteśmy w najwyższych partiach Alp austriackich lub bawarskich.

Ale zostawmy te wycieczki. Zastanówmy się, co z tego wynika. Otóż na pewno mamy potencjalnie ogromne możliwości dotarcia w inne góry, że nie wspomniemy już o najbliższych górach Czech i Słowacji, które w normalnych warunkach powinny być dla nas zupełnie "swojskie". Aktualnie kształtujące się ceny również pokazują, że takie wyjazdy mogą być konkurencyjne dla wycieczek krajowych.

Niewątpliwym skutkiem otwarcia na góry Europy będzie ochrona Tatr poprzez zmniejszenie się presji na nie. W tej chwili bywają w nich zarówno ci, dla których są to "najpiękniejsze góry świata", jak i ci, dla których są "parodią gór wysokich". Bez względu na wyznawany pogląd - wszyscy, przy wydatnej pomocy dyrekcji TPN, doprowadzili do tego, czym Tatry są. W końcu obecnie w Tatrach możemy czuć się jak w kryminale, tzn. brudno, ciasno i niczego nie wolno robić, bowiem regulamin więzienny (pardon - TPN) rygorystycznie reguluje wszelkie przejawy życia. Być może, odpłynię wóczas część ludzi, którzy bywali tu nie z zamiłowania, a raczej z braku innych możliwości. W końcu przed kilkunastu laty takiego tłoku nie było, ale wówczas cotygodniowy wypad w góry po południowej stronie granicy był czymś normalnym dla mieszkańca Krakowa, Rzeszowa, Katowic czy Wrocławia.

A więc którędy do Europy i jak? Wiadomo, że jesteśmy raczej ubogimi krewnymi w tej Europie, może więc spróbujemy, jak na ubogich krewnych przystało. Nie musi to być wejście typu kmiotka idącego na targ, który dopiero na rogatkach powiatowej metropolii otrzępywał kurz ze stóp i wzuwał buty, aby godnie zaprezentować się, ale możemy spróbować wejść do Europy na piechotę.

Istnieje oto w Europie sieć długodystansowych szlaków pieszych. Są one tworzone i propagowane przez Europejski Związek Wędrownictwa, którego członkiem PTTK jest od października ubiegłego roku. Poznajmy więc czym, jako pełnoprawni członkowie, dysponujemy i gdzie możemy wędrować.

Otóż na terenie Europy (głównie środkowej i północno-zachodniej) wiedzie osiem takich tras, ale nie wszystkie są już w pełni zrealizowane. Najwięcej czynnych odcinków znajduje się w Niemczech, Austrii, Szwajcarii oraz południowo-wschodniej Francji - a więc głównie w Alpach i przyległych systemach górskich. Prowadzą na ogół przez atrakcyjne tereny i miejscowości w krajach zrzeszonych w Związku (jest ich aktualnie ponad 20). Oczywiście nie prowadzą tylko w górach, ale prawie wszystkie posiadają odcinki interesujące dla turystów górskich o różnym stopniu zaawansowania. Wędrowanie tymi trasami nie wymaga żadnych formalności, nie ma też obowiązku ciągłego ich przechodzenia. Każdy wędruje, jak chce i gdzie chce.

E-1 "Morze Północne - Jezioro Bodeńskie - Przeł. św. Gottharda - Morze Śródziemne". Ma prowadzić od Przylądka Północnego do Syrakuz na Sycylii. Aktualnie funkcjonuje środkowa część od Flensburga na duńskiej granicy przez Hamburg, obok Hanoweru, Frankfurt/M., Schwarzwald, Jez. Bodeńskie (Konstancja), Schwyz, Anderlatt, Lugano. Dalej na południe do Genui i La Spezia. We Włoszech i Danii trasa jest już właściwie gotowa. Całość będzie liczyć ok. 2800 km.

E-2 "Morze Północne - Jez. Genewskie - Morze Śródziemne". Trasa ma w przyszłości zaczynać się w Szkocji i przez Londyn i Kanał La Manche wieść do Ostendy. Dalsza część jest gotowa. Prowadzi z Ostendy przez Antwerpię (Ardeny), Luksemburg, Metz (Lotaryngia), Nancy (Wogezy), Colmar, Miluzę (Jura), obok Genewy, Alpami Sabaudzkimi i Kotyjskimi do Monako. Ma liczyć ok. 2600 km.

E-3 "Atlantyk - Ardeny - Rudawy - Sudety - Karpaty - Morze Czarne". Prowadzi z Lizbony przez Porto, Santiago de Compostella, Leon (Góry Kantabryjskie), Burgos, Pampelonę (Pireneje), do granicy francuskiej (ten odcinek jest aktualnie tworzony). Dalej przez Orthez, Cahors (Masyw Centralny), Le Puy (przez Forez wzdłuż lewego brzegu Loary), Fontainebleau, okolice Paryża, Soissons, w Ardeny i do Luksemburga, a stąd przez Hunsrueck i Taunus do Fuldy i przez góry Rhoen do Eisenach. Dalszy jego przebieg jest polskim turystom dobrze znany, bowiem jest to po prostu dawny Międzynarodowy Górski Szlak Przyjaźni Eisenach-Budapeszt, który w przyszłości (prawdopodobnie od Tokaju) skręci na południowy wschód i przez Rumunię lub Jugosławię uzyska połączenie ze szlakiem Kom-Emine, aby skończyć się nad Morzem Czarnym. W chwili obecnej (bez tego ostatniego odcinka) liczy ok. 5400 km.

E-4 "Pireneje - Jura - Neusiedler See - Balaton". Ma zaczynać się w Gibraltarze i przez Góry Betyckie, Murcję, Alicante, Valencję, Monserrat dojść w Pireneje. Od granicy francuskiej w Bourg Madame jest już gotowy (w Katalonii będzie gotowy w jesieni tego roku) i wiedzie przez Carcassonne, południowym skrajem Masywu Centralnego, przez Villefort (Sevenny) do Grenoble i przez Jurę na północny brzeg Jez. Genewskiego, a dalej do Konstancji nad Jez.

Bodeńskim. Przez Bregencję w Alpy Austriackie i Bawarskie, przez Kufstein (Alpy Salzburskie), Bischofshofen, Mariazell (Alpy Austriackie) nad Balaton i do Budapesztu. Trasa ta ma mieć ok. 4200 km.

E-5 "Jez. Bodeńskie - Adriatyk". Jest to najkrótsza trasa, ma ok. 600 km. Prowadzi z Konstancji nad Jez. Bodeńskim przez Bregencję, Landeck, Alpy Retyckie do Bolzano i skrajem Dolomitów do Werony i Wenecji. W przyszłości planowane jest jej przedłużenie na zachód przez okolice Paryża do Saint Malo i Brestu.

E-6 "Morze Bałtyckie - Alpy Styryjskie - Adriatyk" - ma ok. 2800 km. Zaczyna się w Helsingoer w Danii, ale już jest realizowane jej przedłużenie do Szwecji, a perspektywnie ze Sztokholmu do Turku promem i dalej przez całą Finlandię. Prowadzi przez Kopenhagę, Flensburg, Kilonię, Lubeck, Góry Harzu, Getyngę, Góry Rhoen, Las Frankoński, a dalej wzdłuż granicy Czech przez Las Bawarski do Karlstift i przez Alpy Austriackie do Mariazell, przez Leoben, Niskie Taury, Alpy Styryjskie, Karawanki i Alpy Julijskie do Rijeki. W tej chwili realizowane jest przedłużenie szlaku do Bari na granicy albańskiej - promem do Igoumenitsy (ominięcie Albanii) i w poprzek gór Pindos do Floriny, Edessy i Salonik, z perspektywą przedłużenia do Stambułu.

E-7 "Atlantyk - Pireneje - Morze Śródziemne - Słowenia". Cały szlak ma liczyć ok. 4200 km, ale zrealizowanych jest najwyżej ok. 400-500 km we Francji. Będzie prowadził z Lizbony do Coimbra i Górami Kastyljskimi i Iberyjskimi w Pireneje przez Przełęcz Somport, dalej Pirenejami francuskimi do Bourg Madame i razem z E-4 w Masyw Centralny (Sevenny). Następnie będzie biegł przez Nimes, Niceę, Monaco, Genę, Como, Bergamo, Genova di Friuli, Lublanę, Zagrzeb, Osijek, Belgrad do granicy rumuńskiej i przez Rumunię nad Morze Czarne.

E-8 "Morze Północne - Ren - Men - Dunaj - Karpaty". Szlak ma 2200 km. Prowadzi z Antwerpii przez Koblencję, Darmstadt, Feuchtungen (Jura Frankońska), Ratzybony, Linz (Dolna Austria), Gmuend, Wiedeń, Bratysławę i dalej szlakiem Powstania Słowackiego na Przeł. Dukielską. Otwarcie tego szlaku odbędzie się w kwietniu br. W przyszłości projektuje się jego przedłużenie przez Beskid Niski i Bieszczady w Karpaty Wschodnie i Południowe aż po Dunaj.

E-9 "Atlantyk - Bałtyk" - nowy szlak w trakcie projektowania. Prowadzić będzie północnym wybrzeżem Europy z Saint Nazaire do Gdańska.

Wszystkie wymienione szlaki tworzą dość gęstą sieć, bowiem wielokrotnie krzyżują się ze sobą, mają też odcinki wspólnego przebiegu. Daje to możliwość dowolnego kształtowania tras i doboru terenu wędrowki zgodnego z zainteresowaniami. Na zachodzie można dostać mapę dalekobieżnych szlaków w cenie 12,80 DM oraz przewodniki po wszystkich trasach w cenie do 25 DM.

Zaprezentowane trasy nie wyczerpują jeszcze wszystkich projektów, ale zakłada się, że ostatecznie nie będzie takich tras więcej niż 12. Możliwe będzie natomiast tworzenie przejść wariantowych. Jednak już dzisiaj istniejące odcinki stwarzają szerokie możliwości wędrowek i należy tylko życzyć, aby i nasi turyści trafili na nie, wędrowali i zaznali wielu przyjemnych wrażeń. Tak więc droga do Europy stoi otworem - przynajmniej dla piechurów, spróbujmy nią pójść.

MAREK STAFFA



## NA SZLAKU Z KOMISJĄ TURYSTYKI GÓRSKIEJ ZG PTTK

### Narada znakarzy

W dniach 19-21 kwietnia 1991 roku odbędzie się w schronisku na Polanie Chochołowskiej narada znakarzy, na której podane zostaną nowe stawki dofinansowania dla jednostek PTTK prowadzących prace znakarckie. Środki finansowe będą przekazywane z Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej na wniosek oddziału prowadzącego prace znakarckie zaopiniowany przez KTG ZG PTTK. Szczegóły na naradzie, na którą należy przygotować plany pracy na rok 1991.

### Informacje o stanie szlaków w górach

(redakcja poleca jako dodatkowe tematy na wspomnianą wyżej naradę)

Koleżanka Helena Korycka i Kolega Witold Goszczyński z Warszawy ostrzegają: w Górcach szlak czarny z Lubomierza na Kudłoń na odcinku początkowym jest bardzo trudny do orientacji.

Podobną informację na temat czarnego szlaku z Lubomierza na Kobylicę otrzymaliśmy od Kolegi A. Zarczyńskiego z Warszawy.

Kolega Roman Sobański z Poznania podaje, że wędrując z Hali Krupowej do Jordanowa czerwonym szlakiem napotkamy trudności orientacyjne na odcinku Cupel - Jordanów.

### Przewodnik czy przodownik GOT

W liście z dnia 22 stycznia 1991 roku Kolega Lech Rugała z Poznania proponuje powrót do nazwy przewodnik GOT i zaniechanie stosowanej "przodownik" jako reliktu epoki stalinizmu wprowadzonego w życie po 1950 roku. Redakcja wyjaśnia, że w pierwszych opracowaniach regulaminu GOT (niedrukowanych) z roku 1935 stosowano nazwę przodownik, która została zmieniona na przewodnik na wyraźne życzenie wysoko ustosunkowanego Polskiego Związku Narciarskiego (list PZN do PTT z dnia 2 czerwca 1935 roku) jako już będącej w jego użytkowaniu w regulaminie turystycznej odznaki narciarskiej.

Zmiana była więc (może przypadkowym) powrotem do zamierzeń twórców GOT. Zgodnie z intencjami twórców GOT inna była też (i jest do dzisiaj) rola osób nazwanych przewodnikami GOT, pełniących powierzoną funkcję społecznie, a zawodowych przewodników PTT, różne też wymagania co do kwalifikacji: paragraf IV.1. Regulaminu GOT (wydanie I Kraków 1935) "Zarząd Główny PTT mianuje na wniosek Komisji Odznaki Przewodników GOT z grona członków PTT celem prowadzenia przez nich wycieczek o odznakę".

### Nowe Kolegium Redakcyjne "Wierchów"

Rocznik KTG ZG PTTK, wraz z nową kadencją Komisji Turystyki Górskiej, uzyskał nowe kolegium redakcyjne w składzie: Stanisław Grodziski, Ryszard Kantor, Jacek Kolbuszewski, Zbigniew Mirek, Zdzisław Ryn, Marek Staffa, Jan Alfred Szczepański, Jacek Woźniakowski, Wiesław A. Wójcik, Janusz Zdebski. Zespół podejmie starania mające na celu przyspieszenie wydawania kolejnych numerów.

### Uwaga, kluby górskie!

W dniach 17-19 maja br. odbędzie się w Szczecinie XI Zlot Klubów Górskich i Alpinistycznych PTTK. Jego organizatorem jest Klub Tatrzański przy Oddziale Miejskim PTTK, 70-415 Szczecin, ul. Jedności Narodowej 49a. W programie zlotu znajduje się m.in. zapoznanie się z pięknem "Gór Bukowych, leżących pod Szczecinem". Organizatorzy prześlą poszczególnym klubom szczegółową informację o tym spotkaniu. Zapraszamy!

### Nowa księgarnia z literaturą poświęconą górcom

W dniu 2 marca 1991 roku została otwarta Księgarnia Górską im. Tadeusza Staicha w Domu Turysty w Zakopanem.

### Zaproszenie

Studenckie Koło Przewodników Górskich w Warszawie (telefon 26-82-91) zaprasza reprezentacje klubów górskich do wzięcia udziału w "Wielkich Zawodach o Nagrodę Butów Siedmiomilowych Beskidu Niskiego", które odbędą się w terminie 24-26 maja 1991. Zawody te polegają na najkrótszym przejściu z Krynicy do Nowicy wzdłuż wyznaczonych punktów kontrolnych. Regulamin - w SkPG Warszawa.

### Upoważnienie na Tatry

KTG ZG PTTK uprzejmie prosi o nadsyłanie w terminie najpóźniej do 31 maja upoważnień przewodnickich do prowadzenia po terenie Tarzańskiego Parku Narodowego na adres Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej w Krakowie, Pl. Wszystkich Świętych 8. Trwają rozmowy z TPN o prolongacie upoważnień na rok bieżący.

### Gabinet K. Sosnowskiego po nowemu

Ośrodek Kultury Turystyki Górskiej KTG "Gabinet K. Sosnowskiego" zmienia swoją dotychczasową formułę. Od 1968 do 1989 r. - czyli przez 20 - lat poświęcony był jednemu tylko człowiekowi, swojemu patronowi - prof. Kazimierzowi Sosnowskiemu. Po przeprowadzeniu generalnego remontu pomieszczenia oraz zmianie i aktualizacji dotychczasowej ekspozycji przewiduje się znaczne poszerzenie biograficznej funkcji Ośrodka. Będzie to agenda historii i kultury turystyki górskiej ZG PTTK o zasięgu ogólnopolskim gromadząca dokumentację biograficzną ludzi gór w sposób przewidziany i metodycznie zaplanowany. Rozpoczynamy zatem wielkie dzieło, pomyślane na szereg lat mrówczej pracy i cierpliwych poszukiwań w terenie celem dokumentowania całej historii turystyki górskiej poprzez charakterystyki, materiały i pamiątki po ludziach dla gór najbardziej zasłużonych.

Przeprowadzenie remontu Gabinetu K. Sosnowskiego, wytyczenie kolejności działań organizacyjnych, wreszcie same prace, nie tylko koncepcyjne, ale i fizyczne, były możliwe dzięki osobistemu zaangażowaniu Przewodniczącego Podkomisji Historii i Kultury TG i Wiceprzewod-

niczącego KTG ZG PTTK - Edwarda Moskały. To jego zasługą stało się, że ośrodek znowu otwiera swoje podwoje dla zwiedzających Dom Turysty PTTK. Ja natomiast, kontynuując cykl prac w Gabinetecie związanych z prof. K. Sosnowskim, mogę równocześnie myśleć o rozumianej w najszerszym sensie roli - BIOGRAFICZNEJ dla Gabinetu, którym od początku 1990 r. przyszło mi się społecznie opiekować.

Czekająca praca, na szczęście, nie jest związana z dużymi nakładami finansowymi, wymagać będzie natomiast kojarzenia faktów i zjawisk, rzetelności i skrupulatności, wykorzystywania wszelkich wyjazdów w teren dla zbierania dokumentów biograficznych i materiałów oraz nawiązywania nowych kontaktów - co pozwoli poszerzyć grono ludzi oddanych tematyce historii i kultury turystyki górskiej.

Już teraz zapraszam do zwiedzania nowej ekspozycji muzealnej poświęconej prof. Kazimierzowi Sosnowskiemu, a także kąjaka historyczno-pamiętnikarskiego Domu Turysty PTTK w Krakowie, który w 1988 r. zakończył ćwierćwiecze w służbie dla polskiej turystyki.

*Andrzej Matuszczyk -Kustosz Ośrodka*

# Architektura na szczycie czyli schronisko PTTK na Luboniu Wielki

W czasie wędrówki po szlakach Beskidu Wyspowego warto skierować swe kroki na szczyt Lubonia Wielkiego (1022 m). Znajduje się tam schronisko górskie, któremu należy się nieco uwagi. Choćby fakt, że jest to jedno ze schronisk PTT, które ocalały z pożogi wojennej i służy nieprzerwanie turystom, wart jest odnotowania. Dokładnie 60 lat od chwili otwarcia obiektu minie 9 sierpnia br.

Szczególnie interesująca jest architektoniczna forma schroniska, wyróżniająca ten budynek spośród wielu innych. Inicjatorami budowy schroniska byli działacze Oddziału Rabczańskiego PTT. Projekt powstał w 1929 r., wykonał go Stanisław Dunin-Borkowski. Budowę kierował i wystrój wnętrz zaprojektował Jerzy Tadeusz Czołonowski. Prace budowlane wykonali okoliczni górale, murarz Sochacki, cieśla Żurek, wystrój wnętrza i meble wyszły spod ręki snycerza Filipa Stolarczyka. Budowa trwała od czerwca 1930 do do lipca 1931 r. Powstałe niewielkie schronisko miało służyć jako cel wycieczek z Rabki, altana widokowa i miejsce odpoczynku.

Analizując formy architektoniczne budynku można stwierdzić, iż autorzy projektu nawiązywali do wzorów wtkiewiczowskiego stylu zakopiańskiego. Masywna kamienna podmurówka - cokół "z szarogłazu beskidzkiego", mieszcząca izbę parteru, drewniane piętro konstrukcji zrębowej, szalowane dekoracyjnie, częściowo schowane pod wydatnym okapem namiotowego dachu regularnie przerywanego mansardowymi okienkami, to zasadnicze elementy bryły. Uzupełnienie stanowią pokaźne skarpy akcentujące naroża partii murowanej i okna, których górna część wykrojona jest półkolistą, a wypełniającą półkola szczebliny tworzą motyw słońca. Ten sam motyw słońca powtórzono w szczytach nad okienkami mansardowymi i na elewacjach piętra. Wieńczący dach padzur oraz kolkowane odrzwia wejścia składają się na zespół form stylu zakopiańskiego. Nie zachowały się mniejsze padzury nad okienkami poddasza. Ogólny pokrój budynku przypomina wieżyczkowy ryzałt willi "Pod Jedłami", a zwłaszcza ryzałt wejściowy willi projektowanej dla hr. Grudzińskiego przez Eugeniusza Wesolowskiego (projekt publikowany w 1911 r. w zeszycie "Ciesielstwo" serii "Styl zakopiański"). Podobną proporcję dachu do bryły, wynikającą z planu zbliżonego do kwadratu i sporej wysokości obiektu, wykazuje Kaplica na Jaszczurówce, tam też można zobaczyć okna zgrupowane trójkami, podobnie jak na Luboniu. Takie triady okien Wtkiewicz stosował też w willach "Zofiówka" i "Pod Jedłami". Mansardowe okna pojawiają się już w "Kolebie", pierwszej willi projektowanej przez Wtkiewicza w stylu zakopiańskim. Narożne skarpy kamienne stosował w swych projektach Jan Wtkiewicz-Koszczyk. Okap dachowy, bogato opracowane, podtrzymujące go belki-rysy i chropawo lico cokołu dostarczają efektów światło-cieniowych, istotnych dla stylu obiektu. Zastrzeżenia może budzić szalunek kryjący zrębową konstrukcję piętra, jednak sam Wtkiewicz dopuszczał możliwość szalowania ścian. Niepoślednią rolę w tym względzie mógł odegrać lokalny wzór rabczański, czyli szalowany gmach wzniesiony w 1903 r. przez Józefa Pokutyńskiego dla kolonii szpitala dziecięcego Św. Ludwika z Krakowa, mocno nawiązujący do stylu zakopiańskiego.

Pierwotnie wystrój wnętrza był zharmonizowany z architekturą. Najbardziej reprezentacyjne pomieszczenie stanowiła sala na piętrze. Dużą rolę

dekoracyjną odgrywa w niej układ belek podtrzymujących pułap. Jeszcze niedawno w tej sali znajdowały się stylowe krzesła i stoliki z czytelnymi sygnaturami PTT. Obecnie krzesła dożywają swych dni w sali na parterze, a ostatni mocno rozklekotany stolik znalazł azyl w pokoju kierownictwa. Znamiennie, że meble te zaprojektowali amatorzy entuzjaści, a wykonane były przez rzemieślników-górali.

Dla współczesnych stylowość budynku nie ulegała wątpliwości. W sprawozdaniu rocznym Oddziału Rabczańskiego zapisano informację o budowie altany widokowej w stylu zakopiańskim, tak też określone jest schronisko w "Wierchach" z 1932 r., w krótkiej notatce informującej o otwarciu obiektu. W przewodnikach po okolicach Rabki schronisko jest wzmiankowane jako "zbudowane w stylu podhalańskim". Tak pisał w 1933 r. Stanisław Dunin-Borkowski, tak też stwierdzili E. Nawratil i C. Trybowski w 1938 r.

O fenomenie stylu wtkiewiczowskiego napisano już wiele. Stosunkowo dobrze poznane są początki. Spory budzą próby ustalenia daty końcowej zjawiska. Sądzę, że łączenie problemu wyłącznie z działalnością Stanisława Wtkiewicza i utożsamianie kresu stylu z odejściem tego artysty jest zbytnim uproszczeniem. O ile stosunkowo szybko, bo już w pierwszej dekadzie XX w., zdano sobie sprawę, że styl zakopiański nie jest idealną receptą dla architektury całego kraju, o tyle przekonanie, iż jest to cenna wartość regionu szeroko rozumianego



Schronisko na Luboniu Wlk.

Podatrza, trwało jeszcze długo. Jednak okres postwtkiewiczowski jest nie w pełni opracowany i trudno formułować ostateczne sądy. W tym kontekście wydaje się interesująca próba odpowiedzi na pytanie o motywy, jakimi kierowali się budowniczymi schroniska na Luboniu, nadając mu w latach 1929-1931 formy stylu zakopiańskiego.

Uważam, że mamy do czynienia ze świadomym wyborem, zgodnym z zasadami propagowanymi wśród aktywistów PTT. Jednym z zasadniczych statutowych celów PTT było uprzystępnianie gór. Czynność tę łączono jednak z programem ochrony przyrody i charakteru terenu. W związku z tym "...roztacza się szerokie pole estetycznego

ukształtowania przetwarzającej przyrodę techniki ludzkiej..." stwierdzał Jan Gwalbert Pawlikowski w programowym artykule w 1913 r. Wydawnictwa PTT udostępniały wielokrotnie swe łamy rozważaniom nad problemami zagospodarowania gór i nad stylem zakopiańskim. Towarzystwo nie wypracowało obowiązujących reguł, jak wznosić schroniska górskie, choć pojawiały się takie zamierzenia. Ograniczono się do publikacji wskazówek i polemik w czasopiśmie.

Pierwszy numer "Wierchów" z 1923 r. zawierał m. in. artykuł Karola Stryjeńskiego "Jak budować schroniska w Tatrach". Autor podkreślał, że podstawowe walory schroniska to celowość, funkcjonalność oraz zestrojenie z otoczeniem. Zalecał drewno jako budulec, konstrukcję zrębową i szalunek. Był zwolennikiem wysokich stromych dachów "... w myśl tradycyjnego budownictwa na Podhalu". Pawlikowski natomiast jednoznacznie propagował styl zakopiański, jako najdogodniejszy dla budownictwa w górach. Jego zdaniem, zasadą naczelną przy stawianiu schronisk powinno być przystosowanie do otoczenia, które może być etnograficzne lub krajobrazowe. "Ani celowość architektury, ani jej piękność nie może zastąpić jej stosowności dla danego otoczenia". Według Pawlikowskiego nie ma stylu lepiej w nastroju przystosowanego do otoczenia na Podhalu niż styl zakopiański. Autor łączył idee ochrony "swojszczyzny" z z ideą ochrony środowiska naturalnego. Pisał "... walka o pierwotny charakter przyrody tatrzańskiej i walka o styl zakopiański stanowią ściśle analogię. Poza strefą przyrody pierwotnej, w strefie kształtowania przez człowieka, budownictwo jako część składowa krajobrazu stanowi o jego charakterze, kształtuje lice ziemi i daje jej niejako duszę zamieszkującego ją ludu, unaradawia ją".

Pawlikowskiemu wtórował architekt Jan Wtkiewicz-Koszczyk. W 1931 r. pisał o stylu zakopiańskim, że budynki powstałe zgodnie z jego założeniami "... kształtem i budową tak się zlewają z przyrodą górska, że wespół z dawną chatą, z fauną i florą miejscową dopełniają się nawzajem".

W świetle tych wypowiedzi rysuje się, jakby to dzisiaj można określić, ekologiczne spojrzenie na styl zakopiański jako najlepiej przystosowany do regionu. Sądzę, że po przytoczeniu powyższych poglądów można przyjąć, iż rabczańscy działacze świadomie wybrali formę stylową swego schroniska.

Schronisko na Luboniu miało być kolejną atrakcją rozwijającego się uzdrowiska oraz wizytówką młodego Oddziału PTT. Ponadto powstawało na terenach uznanych w 1928 r. na mocy Dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej za obszar krajobrazu chronionego. Niewątpliwie skłaniało to do tym rozważniejszego zagospodarowania turystycznego.

Omawiane schronisko nie jest jedynym obiektem o charakterze zakopiańskim wzniesionym w okresie międzywojennym przez działaczy PTT, jednak wyróżnia się doskonałą formą i konsekwencją stylową. Jest, moim zdaniem, doskonałą ilustracją słów Wtkiewicza, iż "dla powstania dzieła architektury, dla zbudowania domu potrzeba oprócz idei i chęci - możliwości, to jest warunków materialnych, potrzeba ludzi, którzy by godząc się na ideę chcieli wcielić ją w życie". W Rabce wszystkie te warunki w latach 1929-1931 zaistniały.

ANDRZEJ SIWEK JUN.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się, jeśli mnie pamięć nie myli, w połowie lat siedemdziesiątych. Wydarzenie to miało miejsce w pociągu relacji Wrocław - Jelenia Góra. Znajomy poznał mnie z brodacami obladowanymi tak jak i ja ogromnymi plecakami. Wśród nich był Karol. Drugi raz spotkaliśmy się na imprezie zorganizowanej w Klatce z okazji 12-lecia wrocławskich "Wyrupiarzy". Wówczas okazało się, iż jest on specem od robienia grzańca, ale takiego prawdziwego. Wtedy też wyruszyliśmy w kilka osób na naszą pierwszą wycieczkę w góry (Grzbiet Lasocki), gdzie echo nadszpiewanie mocno niosło "śpiewane" przez nas piosenki. W tym też czasie Karol przystąpił do organizowanej przeze mnie grupy rejonowej Straży Ochrony Przyrody, która na swoją siedzibę otrzymała od dyrekcji Karkonoskiego Parku Narodowego chatkę "Smogorniak". Strażnica ta wymagała jednak remontu. Cała grupa podjęła się tego dzieła z wielkim entuzjazmem, mimo że materiały budowlane musieliśmy wnieść na własnych plecach. Z tego też okresu utrwaliła mi się w pamięci dość zabawna scenka. Pewnego dnia, gdy większość grupy pracowała, z lasu wyłoniła się ogromna postać. Był to Karol. Z wielkim plecakiem wyładowanym do oporu (wystającym wysoko ponad głowę), z rolką papy na ramieniu, pogwizdując, kroczył posuwicie przez wiatrołom. Przeskoczył strumień i wspiął się na stromą górkę (bo tak było bliżej). Popatrzył na nasze zdziwione twarze i powiedział: "No co się tak gapicie? Do roboty!"

Wiele faktów już zatarto się w mojej pamięci. Niektóre jednak sytuacje pamiętam doskonale. Ponieważ zarówno Karol, jak i ja byliśmy w tamtych latach (nie minęło to nam do dnia dzisiejszego) zauroczeni górami, wiele razy umawialiśmy się na wspólną wędrowkę. Wynikały z tego nieraz zabawne sytuacje. Zwłaszcza w okresie zimowym, gdy każdy z nas szedł oddzielnie w umówione miejsce. Zgromadzeni przy nocnym ognisku turyści opowiadali, jak to widzieli z dala Yeti, który nie zważając na grubą pokrywę śniegu podążał ogromnymi krokami pod górę. Na dowód prawdziwości chcieli nawet prowadzić do miejsca, w którym Yeti pozostawił swoje ślady. Największe jednak podniecenie udzielało się im, gdy z opowiadań wynikało, iż inni spotykali tego dziwnego stwora o tej samej porze w zupełnie różnych miejscach. Opowiadali to z ogromnym przejęciem nie wiedząc, że "Yeti" siedzi obok nich. Wyjaśnienie było proste. Otóż tymi ludźmi śniegu byliśmy ja, Karol i jeszcze jeden kolega Mirek. Wszyscy nosiliśmy buty "Himalaje" o słusznym numerze 11. Jesteśmy raczej dobrze zbudowani i idąc z dużymi worami na grzbietach, wspinając się pod górę, dajemy wielkie kroki zostawiając ślady stóp dwa razy większe niż inni. Nic więc dziwnego, że nie wiedzący o tym turyści nie potrafili wytłumaczyć logicznie tego, co widzieli. Ponieważ nasze wibracje różniły się nieco od siebie, my mogliśmy powiedzieć, który z nas szedł danym szlakiem. Zabawne było jednak słuchać o tym wszystkim.

W chatce AKT przebywaliśmy wiele razy - przeważnie zimą. Zawsze mieliśmy tam świetną zabawę, jak szliśmy po opał. Wiadomo, śniegu metr albo dwa, a w nim uschnięte choinki. Szukanie i ściąganie ich kończyło się przeważnie tak, że Karol był mocno natarty śniegiem. Nie mam pojęcia, dlaczego w spotkaniu ze mną był on przeważnie na straconej pozycji. Może dlatego,

iż nie wiedział, kiedy mi odbije i napadnę na niego.

Pewnego razu poszliśmy do "Puchatki". Było już po północy, gdy przez radiotelefon dano nam znać, że z dołu idą dwie osoby. Zorganizowaliśmy szybko przywitanie. Droga była podzielona na odcinki. Czekaliśmy na nich w "Lasku strachu". Była pyszna zabawa. Na drugi dzień schodziliśmy w nocy do Karpacza. Koło "Skalnego" kolega opowiedział mi, jak to Karol z jeszcze jednym kumplem kupowali kiedyś w tym hotelu papierosy. Wiadomo, że w tak ekskluzywnym obiekcie widok człowieka powracającego po kilkudniowym pobycie w górach, zwłaszcza w deszczową pogodę, nie jest ciekawy. Oni tymczasem weszli do środka. Ponieważ w szatni nie było papierosów, chcieli przejść do kawiarni. Tam jednak grzecznie, lecz stanowczo, nie wpuszczono ich. Kierownik sali szybkotko przyniósł papierosy, aby tylko się ich pozbyć.

## Mój przyjaciel "Czika"

Karol pozbawiony jest słuchu muzycznego (ja zresztą też, co jest jeszcze jedną naszą wspólną cechą). On jednak, w przeciwieństwie do mnie, słuch stracił (jak twierdzi) zimą 1977 r., kiedy to przebywał w chatce Walońskiej w Izerach. "Kiedyś - opowiadał - siedzimy sobie w chatce Walońskiej, piecyk fajnie grzeje, a tu dziewczyny zaczęły koncert: "Hej, przeleciał ptaszek", "W zielonym gaju", "Filon" itd. Wyły niemiłosiernie. Wyjść nie mogłem, bo na zewnątrz okropny mróz. I jak tu nie stracić słuchu, a ja głupi przywozłem je na własnych nartach. Żadnej wdzięczności".

Swego czasu Karol wziął w ajencję schronisko. Wiele razy z przyjaciółmi mieliśmy okazję spędzić wolny czas w Kotle Łomnieckim. Jak tylko spadał śnieg, zaczynały się kłopoty z opalem. Prądu tam praktycznie nie było. Kiedyś zdarzyło się, że sanie ciągnięte przez konie wyrwały się i węgiel leżał na drodze (zapakowany w worki). Akurat szedłem z żoną w odwiedzin. Położyliśmy dwa worki na związane narty i w drogę. Do dzisiaj wspominamy ten dzień jako akcję "czarne złoto", jako że przywieziony przez nas węgiel był na wagę złota.

Czas wyjaśnić przezwisko Karola - "Czika". Otóż pewnego dnia w szkole (był wówczas uczniem LO nauczycielem) podeszła do niego dziewczyna z prośbą o pomoc w zademonstrowaniu pewnego niegroźnego chwytu. Na jej prośbę pochylił się do przodu, prawą rękę przelotnie pod lewą nogą. Dziewczyna chwyciła go za tę rękę i powiedziała: "No, Czika, idziemy". Wybuchł gromki śmiech. Działo się to na przerwie w ogromnym korytarzu pełnym ludzi. Karol na szczęście jest człowiekiem z humorem i dla niego była to również pyszna zabawa.

W roku 1985 postanowiliśmy wspólnie z Karolem zapisać się na spływ Bobrem. Było to z naszej strony czyste szaleństwo, ale czasami też tak trzeba. Zalałwilem formalności, wypożyczyłem odpowiedni kajak i zameldowaliśmy się na starcie. Było tam z pół tysiąca osób. Prawie wszyscy wyruszyli, gdy zdecydowaliśmy uczynić to samo. Sprawnie napompowaliśmy nasz kajak i wsiedliśmy do niego. Niestety, wywołało to tylko olbrzymią salwę śmiechu wodniaków. Okazało się

bowiem, że kajak jest wprawdzie dwuosobowy, ale jak na nas ma zbyt małą wyporność. Na szczęście, Karola wziął ktoś na wolne miejsce, ja popłynąłem sam. Na mecie pierwszego etapu pożyczono nam kajak plastikowy. Dalej popłynęliśmy już razem. Oczywiście skrzętnie omijaliśmy wszelkie przeszkody i nie braliśmy przykładu z szaleńców nie baczących na różne progi i kaskady. Gdy dopływaliśmy do Szprotawy, wyszła na wierzch nasza nieznajomość sztuki wiosłowania. Obeszliśmy kaskadę i tak jak wszyscy chcieliśmy płynąć dalej. Nie zwróciliśmy jednak uwagi, że inni dają się ponieść prądom rzeczonym, a dopiero później wiosłują. My uczyniliśmy to od razu i od razu kajak zrobił przewrót. Wyrzuciło nas do wody. Było tam dość głęboko, jednak daliśmy sobie radę. Nie mogliśmy tylko ścierpieć, że kilkaset metrów wyżej był doprowadzony do rzeki ciekący ściek. Na mecie w Zaganiu było sporo imprez. Najzabawniejsze,

co nam się tam przydarzyło, to co oglądaliśmy na kiermaszu książki. Ja, niestety, w tłumie nie widziałem z daleka tytułów (okulary utopiłem), a on za bardzo nie przykładał do tego wagi. Dopiero później, gdy ludzie zaczytywali się "Piórkami" Sztudyngera, Karol nie zdzierzył i poleciał w kolejkę. Oczywiście obszedł się smakiem. Tak to przeszliśmy chrzest wodniaków.

Ponieważ Karol ma niewielką chalupkę pod Witoszą, często z żoną i dziećmi spędzamy wolny czas u niego. Karol jako dobry gospodarz zapewnia opał na ognisko lub do kominka. Zależnie od pogody. Ilekroć jestem u niego w domu, zawsze oglądam z nieklamany podziwem jego mini-muzeum. Ma on bowiem ciekawą, a zarazem dziwną pasję. Zbiera buty: sportowe, turystyczne, letnie, zimowe, itp. Wszystkie te buty mają oczywiście tę zaletę, że są obuwiem użytkowym. Nie ma tutaj praktycznie ani jednej pary, która nie spełniałaby swojej podstawowej funkcji. Wyróżnikiem zauważalnym od razu po wejściu do domu jest ich rozmiar: słuszny - gwarantujący dużą "stopę życiową" właścicielowi, który już nieraz zapraszał gości celem obejrzenia nowych, coraz to wymyślniejszych ekspozycji.

Nieraz w czasie nocnych gawęd przy ognisku, gdy blask księżycy odbija się w nieco przetartej czuprynie Karola, myślę sobie, jak to właściwie jest. Prawie wszyscy, których znałem, z którymi chodziłem w góry, odeszli w niepamięć. A my, ja i Karol, przez kilkanaście lat znosimy się, mimo kaprysów z obu stron. Przecież jesteśmy w pewnym sensie przeciwieństwem siebie. Od czasu naszego poznania wiele się zmieniło, a my wciąż się spotykamy. Ostatnio mniej, lecz wynika to z charakteru pracy i obecnie różnych miejsc zamieszkania. Myślę jednak, że mimo różnicy zdań i zapatrywań na świat i życie, mamy w pewnej mierze i w pewnych konkretnych sytuacjach wiele zaufania do siebie. Wierzę, że jeszcze nie raz będzie można spotkać nas na wspólnej wycieczce.

KRZYSZTOF TĘCZA

## Wieści i plotki z "Bardzo Bliskiego Wschodu"

(Mój osobisty BRAT jest Lwowianinem. Twierdzi, że urodził się na BLISKIM WSCHODZIE, Bieszczady, gdzie mieszkam - to BARDZO BLISKI WSCHÓD)

Zwyczajem wielu turystów jest witanie nowego roku w górach. Tak też zamiar miał Jarosław K., 23-letni mieszkaniec Białegostoku. Wspólnie z 20-letnią Anną B., mieszkanką Zabrze, przyjechali w Bieszczady, do Wetliny. Tu w schronisku PTTK nie było wolnych miejsc. Postanowili zatem przejść do schroniska na Połoninie Wetlińskiej. Było wczesne przedpołudnie 29.12.1990 r. Pomimo bardzo złych warunków pogodowych (wiał bardzo silny wiatr, było bardzo zimno -7°C, zła widoczność, mgła), wybrali trasę najtrudniejszą z możliwych, bo przez Hnatowe Berdo. Wędrówka była bardzo uciążliwa. Podczas podejścia pod kulminację Połoniny Wetlińskiej, kiedy wiatr przybrał na sile, postanowili przejść na północny stok. Anna B. wyraźnie opadała z sił. Schronili się w lesie. Zapadał zmierzch. Pogoda się pogarszała. Przy dużej wilgotności powietrza dokuczają przenikliwe zimno. Nie pomagały śpiwory, które mieli ze sobą. Jarosław K., jako bardziej doświadczony, próbował ratować koleżankę. Ta jednak przeżywała kryzys, zachowywała się dziwnie, śmiała się, wrywała się ze śpiwora. Między trzecią a czwartą w nocy nie dawała żadnych oznak życia. Chłopak osłabiony, przemarznięty, widząc, że już nie jest w stanie niczym pomóc koleżance - postanawia szukać ratunku dla siebie. Wychodzi z lasu i granicę Połoniny Wetlińskiej kieruje się na wschód, w stronę schroniska PTTK, położonego na wysokości 1228 m n.p.m.

W schronisku dyżur pełnił doświadczony ratownik Grupy Bieszczadzkiej GOPR Władysław Stodyczka. Rankiem 30 grudnia, po całonocnej wichurze i zadymce śnieżnej wyszedł ze schroniska. Ze zdziwieniem zobaczył, że zbliża się jakaś postać. Po chwili, już z bliska, ujrzał młodego człowieka, którego ubiór wydał mu się co najmniej dziwny. Chłopak ubrany był w dres, buty typu "kozaczki", na głowie miał chusteczkę stylonową, a na dłonie nałożone skarpetki. To był Jarosław K.

- Dziewczyna zmarła... - powiedział słabym głosem.

Władek Stodyczka wprowadził nieszczęśnika do schroniska.

- Chłopak był kompletnie wyczerpany, obmarznięty, jak tylko wszedł do środka, zaczął się wszystko na nim topić. Przebraliśmy go, dostaliśmy gorące picie. Kiedy nieco doszedł do siebie, zaczął opowiadać o tym, co się wydarzyło... - powiedział parę dni później Stodyczka dziennikarzowi "Nowin".

Władek niezwłocznie powiadamia o tragedii Naczelnika Grupy Bieszczadzkiej GOPR w Sanoku Jacka Dziubana. Jest godzina 9.10. Na wezwanie Naczelnika do akcji zgłasza się 21 ratowników GOPR oraz ochotniczo 4 turystów. Razem w akcji bierze udział 26 osób. Akcją kieruje Władysław Stodyczka - starszy ratownik zawodowy, posiadający ponad 26-letni staż w GOPR, mieszkaniec pobliskiej Kalnicy.

Jest godzina 11.30, kiedy do schroniska na Wetlińskiej przybywają ratownicy: A.Derwich, L.Berezka, J.Kopka i K.Wilk. Prawie natychmiast wyruszają na poszukiwanie Anny B. Za nimi w kilkanaście minut później idą M.Staszewski i W.Niemiec. Towarzyszy im dwóch turystów. Ze Stacji Ratowniczej GOPR w Ustrzykach Górnych w kierunku Połoniny Wetlińskiej wyrusza następnych czterech ratowników i również dwóch turystów, zaś w Strażnicy WOP w Wetlinie do dyspozycji kierownika akcji pozostaje w odwodzie dalszych ośmiu ratowników. Jest godzina 14.30. Ratownicy z drugiej grupy poszukiwawczej odnajdują zwłoki Anny B. Transportują ofiarę do Zatrważnicy, zaś w tym samym czasie Jarosław K. zostaje zwieziony skuterem śnieżnym do Przełęczy Wetlińskiej, a stamtąd do Ustrzyk Górnych, skąd karetą pogotowia przywieziony zostaje do szpitala rejonowego w Ustrzykach Dolnych.

Akcja została zakończona o godzinie 16.20. Istniały uzasadnione obawy, iż po kilkunastogodzinnym przebywaniu w bardzo trudnych warunkach, na skutek wychłodzenia i wyczerpania eskapada ta skończy się dla Jarosława K. zapaleniem płuc i odmrożeniami kończyn. Szczęśliwie jednak, poza szokiem i niewielkim stanem podgorączkowym, nie doznał on większego uszczerbku na zdrowiu i już w dniu 3 stycznia opuścił szpital, gdzie, jak się dowiedziałem od personelu medycznego - szybko doszedł do równowagi psychicznej.

Dlaczego doszło do tej tragedii? Ano dlatego, iż, jak to się często zdarza, młodzi ludzie zachowali się nadzwyczaj nierozważnie, ponieważ:

Po pierwsze: wyruszyli w góry pomimo zdecydowanie niekorzystnych warunków atmosferycznych;

Po drugie: wybrali drogę przez Hnatowe Berdo, drogę niebezpieczną nawet podczas znakomych warunków pogodowych;

Po trzecie: ubrani byli nieodpowiednio, rzec można, jak na majówkę;

Po czwarte: wychodząc z Wetliny w kierunku schroniska na Połoninie niktogo o swoich zamiarach nie poinformowali. Gdyby to uczynili, a po kilku godzinach nie dotarli do schroniska, dyżurny ratownik wyruszyłby na poszukiwania.

DLACZEGO? Pytań można zadać wiele. I wiele może być odpowiedzi, rad, wskazówek. Można cytować znakomych ludzi gór, odsyłać do literatury fachowej. Ja jednak zakończę krótko: więcej wyobraźni! Więcej rozważli! Więcej powagi dla majestatu gór, zarówno Himalajów, jak i Bieszczadów. Dla najbliższych życie Anny B. jest równie cenne jak życie Jerzego Kukuczki, a ży i rozpacz matek są jednakowo gorzkie.

Dla uczczenia kolejnej wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II w Polsce Oddział PTTK w Przemysłu zamierza wyznaczyć nowy szlak turystyczny prowadzący z Przemysłu do Kalwarii Pałacowskiej. Rozważana jest możliwość jego przedłużenia dalej na południe przez Suchy Obycz - Chwaniów - Kamienną Lawortę do Ustrzyk Dolnych. Szlak nazwany ma być imieniem Jana Pawła II.

Bieszczadzki Park Narodowy od 1.01.1991 r. ma nowego dyrektora. Jest nim mgr inż. Wojciech Wojciechowski, znany "Bieszczadnik", poprzednio długoletni Nadleśniczy w Lutowskich. Znany i ceniony działacz turystyczny. W 1961 r. był członkiem założycielem Oddziału Bieszczadzkiego PTTK w Ustrzykach Dolnych i jego wiceprezesa przez kolejnych pięć kadencji. W. Wojciechowski jest również przewodnikiem beskidzkim i ratownikiem GOPR. Jednym słowem, jest to "NASZ CZŁOWIEK". Miejmy nadzieję, że BPN kierowany przez nowego dyrektora powiększy swój obszar do ponad 21 tysięcy hektarów. Właścicielemni twierdzą, że na rządowej decyzji w tej sprawie brakuje tylko jednego podpisu. Czekamy więc cierpliwie.

Wojciech W. Geło  
P.S. Niestety, nie mogę się pochwalić posiadaniem czterech imion. Bardzo mi przykro, że mam tylko dwa, ale za to jakie: WOJCIECH i WŁODZIMIERZ!

## Sudeckie ciekawostki

PRZESIEKA to jedno z najbardziej znanych karkonoskich wczasowisk. Początki jej były wskazywane bardzo skromnie. Powstała bowiem z bud węglarzy i drwali na wyrębach powyżej starszej wsi, wymienionej już w 1387 r. jako Haynischen. Działala też przy niej huta szkła, jedna z licznych w okolicy. W XVII w. teren ten stał się własnością von Schwinghammerów, a potem Schaffgotschów. Oni to w 1753 r. sprzedali miejscowy folwark. Warto wspomnieć, iż w latach 1936-45 mieszkał tu Hans-Christoph Kaergel (ur. w 1889 r. w Strzegomiu, zm. w 1946 r. we Wrocławiu), początkowo nauczyciel, później zaś popularny autor wielu powieści, nowel i dramatów, w tym o tematyce regionalnej.

Tylko krok przez granicę w Sieniawce, a już wkraczamy w urokliwy świat GÓR ŻYTAWSKICH (Žitavské Hory/Žittauer Gebirge). Jest to południowo-zachodni fragment Gór Łużyckich, dochodzący do Żytawy i zbiegu trzech granic: Polski, Czecho-Słowacji i RFN. Rozmiary mają one niewielkie, bo zaledwie 12x3 km i stanowią geologiczną część sasko-czeskiej płyty kontynentalnej, która zamyka od południa Niekę Żytawską. Wśród skał dominują plaskowce kwadratowe, powstałe w kredzie (ponad 130 mln lat). Lokalnie spośród nich wybijają się ku powierzchni fonolity

(trzciorzędowe wulkanity), które w formie intruzyjnych nabrzeżi tworzą malownicze słupowe skałki, zwane organami. Najpiękniejsze z nich to zgrupowanie koło Janšec/Jonsdorfu, oczywiście o nazwie Orgel. Ze skał tych zbudowane są również większe kulminacje: Luž/Lausche (793m), Hvozď/Hochwald (749 m), Weberberg (712 m). Stanowią one atrakcyjne miejsca wspinaczkowe. Teren rozcinają gęsto dopływy Mandawy: Pfarrbach, Pochebach i in. W ich dolinach położone są liczne ośrodki wypoczynkowe. Do szczególnie atrakcyjnych krajoznawczych zalicza się góra Oybln z ruinami dużego klasztoru Celestynów i schroniskiem, piętrząca się na podobieństwo Szczelińca Wielkiego nad leśniczyskiem Oybln, oraz nieduże już ruiny zamku Karlsfried, wystawionego przez Karola IV między Żytawą a Janšecami. Ochroną krajobrazową objęto tu 6406 ha.

POBIEDNA, u stóp Gór Izerskich, była do 1945 r. własnością księcia Kraft-Alexandra z Hohenlohe-Oertringen (ur. w 1925 r.), który po wojnie zamieszkał w Furth (środkowe Niemcy). Jest to znany od wielu lat aktor i reżyser, pracujący m.in. w Zurychu, Hamburgu, Konstancji, polonofil, dyrektor teatru w Furth, założyciel Towarzystwa Niemiecko-Polskiego w Frankonii w 1976 r. Za swoją aktywność na rzecz naszego kraju otrzymał w 1986 r. medal "Zasłużony dla kultury polskiej"

We Wrocławiu urodził się 12.11.1886 r. Guenter Oskar DYHRENFURTH (zm. 14.04.1975 r. w Rigenberg, Szwajcaria), geolog i znany himalaista. Po studiach na uniwersytetach Wrocławia, Wiednia i Freiburga w Bryzgowii rozpoczął studia geologiczne Alp (1906-14), uprawiając równocześnie turystykę wysokogórską, w tym także "zaliczając" i Tatry (1906-07), gdzie dokonał kilka pierwszych wejść letnich i zimowych. W 1913 r. habilitował się i od 1919 r. był profesorem UWr. Od 1930 r. prowadził intensywną eksplorację naukową i wspinaczkową Himalajów, dzięki którym uzyskał światowy rozgłos jako "Himalaya Professor". W proteście przeciwko nazizmowi wyemigrował w 1933r. do Szwajcarii, gdzie już od 1926 r. posiadał własny dom. Był długoletnim kronikarzem wypraw himalajskich w magazynie "Die Alpen" i autorem wielu artykułów i książek, w tym "Der dritte Pol" i "Himalaya".

ODRZYCHOWICE KŁODZKIE były miejscem urodzenia w 1835 r. Wilhelma von Lindhelma (zm. w 1898 r. w Wiedniu), który zasłynął w Europie jako jeden z pionierów nowoczesnej komunikacji. Był on organizatorem wielu linii w Europie Środkowej i sieci tramwajowej w Wiedniu. Oczywiście z tego powodu ceniono go szczególnie w monarchii habsburskiej.

# Jak Zaruski znakował szlaki tatrzańskie

Pan Mariusz osiadł w Zakopanem, gdy zbliżał się do końca życia pierwszy znakarz Tatr Polskich, Walery Elias, i poczynił dogorywać na gruźlicę bardzo energiczny i zacięty znakarz lat późniejszych, dr Michał Kirkor. W tymże czasie włączył się w tę pracę przewodniczący Komisji dla Robót w Górach, prof. Władysław Kulczyński z uniwersytetu krakowskiego, który w późniejszych latach niejednokrotnie przeszkodził Zaruskiemu w znakowaniu niektórych wejść szczytowych zupełnie bezdrożem skalnym. Była to bowiem jedna z pomniejszych namiętności pana Mariusza uprawiana wspólnie z Mieczysławem Karłowiczem. Tu warto przypomnieć, że ten ostatni, jeszcze jako 16-latek wyznakował zielonym kolorem, bez pytania kogokolwiek o zgodę, wejście stromym, piarzysto-trawistym bezdrożem ponad zerwiska Kominów Tyłkowych i na ich szczyt, co mu ktoś ogłosił później w "Kurierze Zakopiańskim". Było to w roku 1892, ale Towarzystwo Tatrzańskie kompletnie zignorowało ten wyczyn nastolatka, a wykonywane nędzną farbą znaki, szybko znikły.

W okresie 1907-1913 Zaruski znakował osobiście bądź też odnawiał niejedną ścieżkę w regłach zakopiańskich. Dziś nie jest łatwo oddzielić jego prace znakarskie od dokonywanych przez prof. Kulczyńskiego i innych. Z informacji udzielonych mi w roku 1929 przez Józefa Oppenheima wynika, że pan Mariusz znakował w roku 1911 zejście z Koziej Przełęczy, przez Pustą Dolinkę, do zawratowego szlaku w dolinie Pięciu Stawów. Było to zejście przetrasowane przez księdza Gadowskiego wraz z Jakubem Wawrytką w roku 1904, tylko w najgórnieszej partii, gdzie umieszczono jedną drabinkę. Zaruski znakował to przejście jakąś nędzną czerwinią, bo przechodząc Pustą Dolinkę w roku 1924 odnalazłem ledwo widoczne resztki dwu znaków wśród spiętrzonych want skalnych.

W skrajnej młodości omijałem ścieżki regłowe z zarozumiałością początkującego wspinacza. Ale po kilkudziesięciu latach, w roku 1969, przeprowadzając kosmetykę tychże szlaków regłowych (jak i skalnych szlaków Tatr Polskich), odnalazłem z niejakim wzruszeniem chyba jedyny ocalały znak Zaruskiego, a to u ujścia Doliny do Białego. Były to bardzo już przybladłe dwa równo wymalowane paski koloru czerwonego i zielonego. Bowiem pan Mariusz surowo uwzględniał zasady tzw. rozkładu kolorów, co przy ówczesnym zagęszczeniu ścieżyn regłowych, zmusiło go do wprowadzenia dwukolorowych znaków, jak: czerwono-niebieskie, zielono-żółte itp., ciągle jeszcze bez podkładu białego. Ten około 60-letni znak obrastający jodłowymi gałązkami, pozostawiłem niezatarty mając małowidoczną mieszankę. Może tam jeszcze jest.

W roku 1908 pan Mariusz wytyczył czerwonym kolorem krótkie przejście z przełęczy pod Chłopciami, wiodące skalnym bezdrożem po południowym stoku na

Mięguszowicki Szczyt nad Czarnym. Nieco wcześniej Karłowicz wytyczył niebieskim kolorem wejście wiodące na ten szczyt z "galeryjki", również całkowitym bezdrożem. Z tego ostatniego odnalazłem w 1970 roku tylko jeden prostokąt zupełnie wypłowiałej farby, choć znakowania Zaruskiego zanikły w całości. Za to z innego wyczynu pana Mariusza dokonanego, zdaje się z Jakubem Wawrytką, w zupełnej tajemnicy ("żeby się Kulczyński nie dowiedział!"), pozostała na wschodniej ścianie Wielkiego Kościelca jedna zardzewiała klamra i ślady po kilku znakach, chyba także czerwonych.



Do Kościelca wydawał się mieć Zaruski szczególną predylekcję, bo w roku 1921, już po nominacji na pułkownika, przybył na kilkanaście dni do Zakopanego i dość nierównymi paskami ciemnej syntetycznej czerwieni wyznakował szlak z Karbu na Wielki Kościeliec, wywodzący przez "płytę" samym grzbietem, trochę na wschód od obecnej ceprostrady. Podobno Komisja dla Robót w Górach nie była zadowolona, ale jakoś rozeszło się to po kościach.

Jeszcze w roku 1911 Zaruski postanowił wyznakować najkrótsze przejście z rejonu Hali Gąsienicowej do Pięciu Stawów. W tym celu odświeżył dawne czerwone znakowania ks. Gadowskiego z Pańszczycy na Przełęcz Nowickiego w Orlej Perei i sprowadził je do Dolinki Buczynowej po miejscami nieco uciążliwych wantach i piargach. Annały Towarzystwa Tatrzańskie milczą, czy i co na ten temat powiedział prof. Kulczyński. W każdym razie jeszcze na początku lat pięćdziesiątych istniało tam kilka wypłowiałych plam czerwonej farby.

Natomiast, gdy w roku 1912 pan Mariusz projektował wyznakowanie farbą wejścia na Hińczową Przełęcz - Mnichowym Zlebem (pod Mnichem) i przez obie Galerie Cubryńskie, Kulczyński sprzeciwił się temu bardzo stanowczo i z pozytywnym wynikiem.

W ten sposób doszliśmy do końca znakarskich wyczynów Zaruskiego i można by tylko dodać, że od czasów pierwszej wojny

światowej zawsze malował on czerwony krzyżyk w miejscu, skąd TOPR zabierał niezujące ofiary wypadków, a zaczęło się od zaznaczenia farbą miejsca (na dnie wybranej w śniegu jamy), gdzie dokopano się zwłok Karłowicza. Sam Karłowicz na odmianę malował niebieskim kolorem małe krzyżyki niespodziany na osiągniętych przez siebie szczytach Tatr Wysokich. (Jeszcze pod koniec okresu międzywojennego resztki krzyżyka czerwonego istniały u spodu Komina Dregge'a (miejsce odnalezienia zwłok Bandrowskiego), a nieźle zachowany niebieski krzyżyk niespodziany znajdował się na poboczu jednego z głazów szczytowych Szatana.)

W roku 1925 przyglądałem się z Grańki Skupniowego Uplazu, jak pan Mariusz w pełnej gali generalskiej prowadził prezydenta Wojciechowskiego na poświęcenie Murowańca. Przodem szedł żandarm polowy, usuwając schodzących na bok, a Zaruski w brązowych sztylpach szedł obok prezydenta od strony usuwanych ze szlaku turystów, z ożywieniem objaśniając krajobraz milczącemu panu z siwą kocią bródką. Tuż za nimi postępowali starzy przewodnicy z pękami lin oraz ratownicy z bambusami owiniętymi siatką. Wbrew niedawnym opisom było jeszcze dość pogodnie i dopiero po poświęceniu przez księdza Humpolę i przecięciu wstęgi przez Wojciechowskiego, deszcz zaczął padać na dobre.

Osobiście zetknąłem się z generałem Zaruskim tylko raz, latem 1929 roku, gdy w Pustej Dolince umacniałem w pobliżu ściany Zamarłej Turni łatę śniegową z badań minionej zimy, by mogła służyć i w przyszłości. Zaruski w towarzystwie 3 osób schodził z Koziej Przełęczy i przystanął koło mnie, pytając, czy to z badań krakowskich klimatologów, o których czytał kilkakrotnie w prasie.

- Tak, panie generale, odpartem. To jedna z naszych lat zimowych.

Generał przyjrzał mi się dokładniej, mówiąc: - To jednak mnie pan rozpoznał. Pewno młody tatarnik?

- Tak. I trochę narciarz. Przesiedzieliśmy tu ostatnią zimę w nieco syberyjskich mrozach. Instrumenty lepiły się do palców, a objazd wszystkich lat popod granie zajmował dobrych kilka godzin.

- Niech mi pan powie - pytał Zaruski - jaka była najniższa temperatura w waszej sypialni?

- 8 stopni mrozu w klitce tuż przy kuchni. Sypiało się pod pierzyną Wikty Bigosowej - oczywiście pod jej nieobecność, w kominiarce wciągniętej na uszy.

- To bez Wikty - z nią byłoby chyba cieplej, uśmiechnął się pan Mariusz. - No, to czolem młody człowieku! - I ruszył z towarzystwem ku dolinie.

WŁADYSŁAW MIDOWICZ

## Od Redakcji:

W tym roku w kwietniu mija 50 rocznica śmierci generała Mariusza Zaruskiego. Jesienią ROP PITK we Wrocławiu zaprasza na Ogólnopolskie Seminarium pn. - "Mariusz Zaruski, życie, działalność i twórczość".

# LOBTROTER

- POD REDAKCJĄ LESZKA SAWICKIEGO

## 12. Paszporty, ambasad, wizy

**Paszporty.** Już od co najmniej dwóch lat nie mamy kłopotów z uzyskaniem paszportu, czyli podstawowego dokumentu dla przekroczenia granicy. Trzymamy go w domu, w zacisznej szufladzie biurka; jest naszym kluczem do nadziei na zwiedzanie świata. Ale, już planując wyprawę, jako pierwszy krok - sprawdzimy datę jego ważności. Czy będzie ważny aż do końca naszej podróży? Niektóre ambasad udzielając wizy wymagają, aby paszport był ważny jeszcze przez tyle a tyle miesięcy po zakończeniu naszej podróży. Warto więc z wyprzedzeniem dokonać przedłużenia w odpowiednim wydziale odpowiedniego urzędu.

Przy okazji sprawdzimy również, czy paszport ma dość miejsca na wklejenie nowych wiz i stempli posterunków granicznych. Jeśli jest już całkiem "zabity", to trzeba postarać się o wklejkę - harmonijkę, lub, niestety o nowy paszport, co nam zabierze sporo czasu, a i pieniędzy (aktualnie opłata za wyrobienie nowego paszportu wynosi 304 tys. zł).

**Ambasady.** Aby uzyskać wizę, umożliwiającą wstęp do danego kraju, trzeba przekroczyć progi ambasad czy konsulatu, dowiedzieć się o warunki wydania tej wizej, uzyskać formularze, sprawdzić ile fotografii należy przygotować, ile złotych opłaty należy wnieść i kiedy (przy złożeniu wniosku czy przy odbiorze wizej?), w jakim dniu i w jakich godzinach się zgłosić - jednym zdaniem, ciąg udzeń i oczekiwań na kilka dni lub kilkanaście tygodni. Dodajmy do tego wyczekiwanie na ulicy - czasem całonocne, ogonki, kolejkowe listy społeczne lub urzędowe, niekiedy wręcz opryskliwość lub nieuprzejmość urzędników. Trzeba przez to przejść, nie ma rozkoszy bez bólu...

Wpierw - odszukajmy dane przedstawicielstwo dyplomatyczne. Zazwyczaj chodzi tu o ambasadę (wszystkie one grupują się w Warszawie), ale niekiedy są też nam pomocne konsulaty w miastach prowincjonalnych - na przykład chiński w Gdańsku, radziecki w Poznaniu, francuski w Krakowie czy niemiecki we Wrocławiu. W odszukiwaniu właściwej ambasad będzie nam pomocna informacja telefoniczna, ale ostatnio widziałem już w kioskach małe broszurki (cena ok. 4000,- zł) zawierające adresy ambasad z godzinami urzędowania. Podobne wykazy pojawiły się na niektórych dworcach kolejowych w monitorach informacji komputerowej.

W ambasadach załatwiamy wszystko grzecznie i uprzejmie. Trzeba mieć na uwadze fakt, że jesteśmy gośćmi w urzędzie eksterytorialnym, że urzędnik ambasady "ma zawsze rację" i może nam sprawę załatwić lub nie załatwić, a my nie będziemy mieli żadnego prawa do zażaleń czy odwołań. On jest u siebie panem.

Ambasady zazwyczaj dysponują materiałami informacyjno-propagandowymi; są to foldery, mapki, broszury. Jeśli nie są one wyłożone do dyspozycji w dziale wizowym, to poprośmy o nie, chętnie je nam wręczą. Zazwyczaj też, odbierając na końcu starań wizej, prosilem urzędniczkę o jakieś gazety z danego kraju. Leżą one tam po kątach, wyczytane; dla mnie będą stanowić interesujące, a czasem egzotyczne "emplois" do problemów wybranego celu podróży.

Pół biedy, jeśli ambasada danego kraju znajduje się w Polsce. Wiele krajów nie ma u nas swoich przedstawicielstw, i tu zaczynają się kłopoty. Sprawy wizowe dla niektórych takich państw są załatwiane przez "zaprzyjaźnione" ambasad. Dla

większości krajów Brytyjskiej Wspólnoty Interesów wizej załatwia ambasada Wielkiej Brytanii (np. dla Kenii czy Sri Lanki, a ostatnio i dla Hong Kongu).

Jeżeli jednak nikt interesów danego kraju w Polsce nie reprezentuje, to należy poszukać takiego przedstawicielstwa w stolicach naszych sąsiadów: w Moskwie, Berlinie lub Pradze. Stwarza to oczywiście dodatkowe koszty: telefonów dla uzyskania informacji, podróży delegata z paszportami i po ich odbiór, itd. Niektóre agencje turystyczne i biura podróży w Polsce ogłaszają, że podejmują się załatwiania wiz w stolicach obcych państw, ale zabawa taka pociąga za sobą duże koszty i może trwać dość długo. Lepiej dopilnować tego samemu.

Ostateczne wyjście z sytuacji, gdy wizej nie posiadamy, to staramy się o nią w jakiejś stolicy już w drodze lub na granicy danego państwa. Możemy jednak iść na ryzyko tylko w przypadku, gdy mamy sprawdzone i pewne informacje, że takie wizej w danym punkcie rzeczywiście są udzielane. Tak jest, na przykład, w wielu państwach Ameryki Południowej. Inaczej - kłapa lub niesłychane kłopoty.

Przeznaczam przed lotem "w ciemno" do danego kraju bez ważnej wizej w naszym paszporcie. Jeśli nas nawet do samolotu wpuszczono, a kontrolerzy paszportowi na bramce nie zauważyli tego braku - to narażamy naszego przewoźnika (czyli linię lotniczą) na konsekwencje finansowe, gdyż według międzynarodowych przepisów w razie zatrzymania w docelowym punkcie pasażera bez

name" (nazwisko panieńskie) lub "Previous name" (poprzednie nazwisko) - palicho, piszemy co trzeba. Teraz zaczynają się dziwactwa, zależne od zakątka świata, który takie formularze wydrukował. Jeśli formularz żąda wpisania rasy (!) to oczywiście piszemy "White". Pytanie z formularza indonezyjskiego o nazwisko w "Chinese character" czyli literami chińskimi - pomijamy milczeniem lub kreską. "Oczyszczono" - wypełniamy jak należy. Pytania o paszport: daty wydania, daty ważności - to jasne. "Kind of passport" lub "Type" - tu, jeśli trzeba, wpisujemy "Ordinary" (w odróżnieniu od dyplomatycznych itp).

"Purpose of journey", "Reason for journey" - odpowiadamy krótko: "Tourist". Na czyje zaproszenie, kto pokrywa koszty, jaka instytucja będzie gospodarzem - te wciśbkie pytania pokrywamy odpowiedzią "On my own account" - czyli, w grzecznej formie, "co was to obchodzi". Niektóre ambasad żądają okazania dowodów posiadania środków pieniężnych, wyciągu z konta bankowego itp. Trzeba dokładnie dowiedzieć się, jakiego rodzaju zaświadczenie i na jaką kwotę jest niezbędne. Zazwyczaj ambasadom chodzi o gwarancję posiadania kwot w wysokości 10-20 dolarów na zamierzoną dobę pobytu.

Dalsze wciśbstwo ambasad może polegać na żądaniach pokazania biletu powrotnego z danego kraju, lotniczego lub kolejowego. Czasem wystarcza tu bilet z otwartą datą powrotu, czyli "Open", ale niekiedy ambasada żąda potwierdzonej konkretnej daty powrotu! Tu już nasze kłopoty się



wizej - przewoźnik ponosi karę w wysokości 10 000 US\$ i jest zobowiązany do zabrania z powrotem niepożądanego pasażera...

**Wizej.** Stadamy przy biurku, przed nami ułożone formularze wizowe z mnóstwem pytań. Zazwyczaj w języku angielskim, czasem z tłumaczeniem polskim (niekiedy dość nieporadnym). Wypełniamy je czytelnie, piśmem drukowanym, aby nie było kłopotów.

"Name" wzgl. "Surname" - to proste. "First name", "Given name", "Christian name" - imię też proste. Niekiedy formularz żąda wpisania "Maiden

powiększają, bo zazwyczaj wolelibyśmy nie być aż tak skrupowani dokładnymi terminami!

Wypełniamy nasz formularz dalej. "Adresy, gdzie będziesz mieszkał" - tę rubrykę najlepiej zapelnąć ogólniejszą informacją, np. "Tourist hotels in..." i tu podać trzy lub cztery miejscowości znane z ruchu turystycznego.

Reszta pytań już nie powinna nam sprawiać trudności. Przyklejenie fotografii, data, podpis. Złożenie wniosku, i - czekamy cierpliwie na wizej.

(dokończenie na str.15)

(dokończenie ze str.14)

Zalotwienie wiz trwa; czasem parę dni, czasem dwa lub więcej miesięcy. Niektóre ambasady zalatwiają wizy również w trybie przyspieszonym, "ekspresowym", ale za to pobierają dodatkowe opłaty, rzekomo za telegraficzne czy teleksowe przyspieszenie.

W przypadkach awaryjnych, gdy zbliża się termin naszego wyjazdu, a nie mamy zalatwionej którejś - tam wizy (czasem sprawa przedłuża się nie z naszej winy) - to możemy prosić daną ambasadę o przekazanie zgody na udzielenie wizy innej ambasadzie w którymś z państw, przez które będziemy przejeżdżać; czasem daje to dobre wyniki. Na jednej z wypraw zgoda na nasze wizy indonezyjskie dogoniła nas aż w Singapurze, i tam uzyskaliśmy je dosłownie w ostatniej chwili. Zalotwiamy wszystko w sposób uprzejmy, z uśmiechem, wtedy rzeczy na pozór niemożliwe stają się możliwymi. Czasem - ale to już poza granicami naszego kraju - drobny prezencik (broń Boże nie lapówka!) lub kwiatek wręczony sekretarce - robi również cuda.

Przy odbiorze wizowanego paszportu starannie sprawdzamy treść wizy, a zwłaszcza długość jej ważności, upewniając się, czy ważność zaczyna się od daty wydania, czy od daty przekroczenia granicy.

Jeżeli składamy wnioski o wizy dla grupy osób, przekazując zbiorową listę, to musimy wyraźnie dopilnować, aby wizy były wystawione dla każdej osoby z osobna, w każdym paszporcie, a nie w postaci wizy zbiorowej, gdyż taka uniemożliwi poszczególnym członkom grupy indywidualne poruszanie się! Na szczęście niewiele państw oferuje taki sposób zalotwania turystów, ale bądźmy ostrożni.

Warto również, będąc w ambasadzie, upewnić się, czy i w jaki sposób można uzyskać wizę przedłużoną już na terenie danego kraju. W niektórych państwach jest to dziecinnie łatwe, gdzieś indziej trzeba za przedłużenie solidnie zapłacić, a w nielicznych państwach jest to wręcz niemożliwe. Warto o tym wiedzieć z góry.

Wizytę w ambasadzie wykorzystujemy też dla zebrania informacji o świętach religijnych lub narodowych, przypadających na okres naszego tam pobytu. Pamiętajmy, że w takie dni na ogół niczego się na miejscu nie zalatwi, banki i biura będą zamknięte, czasem też natrafimy na kłopoty komunikacyjne. Nie od rzeczy będzie pytanie o obowiązkowe szczepienia wymagane przy wjeździe.

Zalotwienie wiz do kilku państw trzeba z góry ustawić w pewnej logicznej kolejności; niekiedy ambasada państwa X wymaga pokazania wizy państwa Y przy wjeździe z jednego kraju do drugiego. Jest to niezbędne zwłaszcza przy zalotwianiu wiz tranzytowych dla dostania się do państwa, w którym chcemy gościć na podstawie wizy pobytowej.

Mając już w paszporcie wszystkie potrzebne wizy, możemy przez kilka następnych nocy spać spokojnie. Chyba, że martwimy się dalszymi problemami, jak ekwipunek, finanse, zdrowie...

cdn.

## OSOTT - czyli Ogólnopolskie Spotkania Organizatorów Turystyki Trampingowej

Od kilkunastu lat uprawiam turystykę zagraniczną "na własną rękę", to jest starając się nie korzystać z usług biur podróży czy zagranicznych kontrahentów; sam lub z małą grupą przyjaciół planowałem trasy, zalatwiałem paszport i dewizy, wyruszałem w świat nie kłaniając się nikomu i wracałem do domu z miłym poczuciem niezależności i wolności od zobowiązań.

Parę lat temu niespodziewanie dowiedziałem się, że mój sposób wędrowania nazywa się "trampingiem" i że podobni jak ja "trampingowcy" mający wspólne interesy pragną się zorganizować w jakiś sposób, formalny lub nieformalny. W pierwszym odruchu zaprotestowałem wewnętrznie przeciw temu neologizmowi; sięgnąłem do słowników, aby sprawdzić ten termin. Wprawdzie słowo "tramp" miało już swój dawno określony sens w książkach Londona, a nawet jakiś niedokończony przedwojenny film z Tońkiem i Szczepkiem miał nosić tytuł "Trampy Lwowa", to jednak wyrażenie "tramping" kojarzyło mi się raczej z żegluga handlową i określało "nieregularny sposób przewożenia ładunków przez statki". Dopiero wtedy przekonano mnie, że uprawiam tramping, gdy zobaczyłem to słowo używane powszechnie w polskich i angielskich czasopiśmie globtrotterskich, i że nawet istnieje w Polsce "Bank Informacji Trampingowej". No więc, nich będzie tramping.

I kiedy w 1986 r. przeczytałem, że ma się odbyć ogólnopolskie spotkanie tych miłych zapaleńców, którzy też uważają, że klucz do zwiedzenia świata nie leży w grubych pieniądzach, koneksjach czy tajnych powiązaniach, i że świat można zwiedzać "po swojemu" - zgłosiłem się czym prędzej na OSOTT '86, czyli drugie (już) Ogólnopolskie Spotkanie Organizatorów Turystyki Trampingowej. Dojechałem szczęśliwie do Harbutowic, maleńkiej wioski w Karpatach, gdzieś za Myślenicami, i od razu znalazłem się "wśród swoich". Kilkudziesięciu - prawie setka - uczestników to byli czyste krwi wędrowcy, turyści, co zwiedzili trasy od Honolulu po Pernambuco, nikomu się nie kłaniając, czasem za grosik (a raczej po niesłychanie niskich kosztach), niekiedy dorabiając po drodze. Coś z londyńskich trampów czy "hobo", ale w wyższym stylu, z szerszymi horyzontami; w większości ludzie z wyższym wykształceniem, nieco studentów. Wielu z nich, posiadając menadżerskie zapędy, znalazło już sobie locum zawodowe w biurach podróży czy agencjach turystycznych, pozostali byli trampami "urlopowymi", a kilku reprezentowało zgoła ekstremalny pogląd na sposób życia: tramping jako treść zasadnicza, a w przerwach między wyprawami nieco pracy...

I z tym zwirowanym towarzystwem spotykam się co roku, zawsze późną jesienią, na trzynastych zjazdach: w 1987 roku - w Karniowicach pod Krakowem, 1988 - w Broku nad Bugiem, 1989 - w Sopocie, a ostatnio (16-18.11.1990) - w Nowych Rumunkach pod Płockiem, nad Jeziorem Górskim.

"Spotkania" są formalne i nieformalne zarazem. Formalne - gdyż trzeba zebrać zgłoszenia, wybrać miejsce i opłacić koszty organizacyjne, do niedawna zgłaszać "gdzie potrzeba", zawiadamiać uczestników, a potem nadać formy organizacyjne - ułożyć program, otworzyć, udzielić głosu, ustalić kolejność prelekcji itd. itd. Ale to tylko ramy. Cała reszta jest nieformalna: treść i formy wypowiedzi, pomysłów i propozycji, i - co najważniejsze - lawina różnorodnych informacji z całego świata. Wszystko to jest przygotowane przez niewielką grupę entuzjastów. Duszą dotychczasowych sześciu OSOTT'ów jest niewątpliwie Andrzej Urbanik - lekarz-rentgenolog z Gdańska, obieżyświat na wielką skalę (jako pierwszy z OSOTT'owców dokonał podróży dookoła świata), który wraz ze swymi przyjaciółmi: Krzysztofem Kmiecikiem, krakowskim botanikiem-farmakologiem i docentem Krzysztofem Łopacińskim z Instytutu Turystyki - organizuje i prowadzi zjazdy.

Organizatorom zazwyczaj udaje się nakłonić rozmaitych sponsorów do wspomagania tych imprez: ostatnio były to m.in. "Petrochemia", Towarzystwo Ubezpieczeniowe "Westa", "Herbapol", fundujący zestawy ziółowych herbat, i - w głównej mierze - Instytut Turystyki. Ten ostatni wspomagał spotkania komputerową drukarką i (w 1988 roku) kserokopiarką, pracowicie powielającą wszystkim zainteresowanym przywiezione mapy, foldery i przewodniki.

Każde spotkanie jest też okazją dla wygłaszania prelekcji przez gości specjalnych. Czyż nie zainteresuje każdego np. prelekcja o węzłach tropikalnych świata wygłoszona przez dyrektora płockiego ZOO, Tadeusza Taworskiego, lub prelekcja o przepisach celnych, przekazana przez prawdziwego celnika, czy też o znizkach lotniczych - przez naszego przyjaciela z LOT-u? Są też i pokazy technicznych nowości z branży trampingowej. Moje zainteresowanie wzbudziła nadmuchiwana mini-poduszeczka o kształcie kołnierza, do nakładania na szyję w czasie długich przejazdów "na siedząco", a zarazem "na zasypiająco". Ostatnio podziwialiśmy lekkie i kształtne namioty typu "igloo", wytwarzane w Radomiu, była też dyskusja nad projektem plecaka "idealnego", jaki chce wyprodukować łódzki "Polsport".

O czym się mówi? O wszystkim, co interesuje globtrotterów. Publikacje, czasopiśma i przewodniki (któ może, przywozi ze sobą nowości ze świata), o giełdach i targach globtrotterskich, o nowych szlakach lądowych, gdy trasy lotnicze stają się zbyt drogie, o polonikach w odległych krajach i o wielu innych sprawach. Nie mówi się natomiast o handlu, o "przebiegach" i o brzydkich celnikach, bo to zupełnie inny temat, który zająłby dalsze trzy dni, a w dodatku dżentelmeni nie powinni rozmawiać o pieniądzach...

I wreszcie prelekcje z przeżyciami. Tu wysłuchujemy relacji z najbardziej egzotycznych i niestandardowych zakątków świata. Na ostatnim OSOTT'cie rewelacjami były: Namibia, RPA, Albania, Gwatemala, Tajwan - kraje z różnych przyczyn dotychczas prawie nie odwiedzane przez globtrotterów. Z biegiem czasu na spotkaniach zmieniła się forma techniczna prelekcji: pojawiają się filmy nagrywane kamerami wideo, zaś przeżycia wyświetlane są półautomatycznie za pomocą dwóch rzutników, często z podkładem muzycznym. Obowiązuje sroga selekcja najciekawszych i technicznie najlepszych przeżyci, ale i tak niekiedy prelekcje nie mogą utrzymać się w narzuconym 15-minutowym przydziale czasu. Wtedy sesja przeciąga się, ale zainteresowani nie protestują; dość powiedzieć, że ostatnia sesja płockiego OSOTT'u zakończyła się o wpół do trzeciej nad ranem... Na OSOTT'ach pojawiają się też i goście zagraniczni z prelekcjami, m.in. z niemieckiego D.Z.L.G. ("Deutsche Zentrale fuer Globtrotter") i londyńskiego "Globtrotters Club".

Miłośnicy trampingu co roku zbierają się i dochodzą do wniosku, że jest coraz gorzej, że warunki finansowe uniemożliwiają wędrowki, że świat staje się coraz bardziej niebezpieczny itd., po czym nadal kontynuują swoje podróże, a za rok znów się spotkają i opowiadają o ciekawych krajach i przygodach na szlaku. To jest choroba nieuleczalna. "Vivere non est necesse, navigare necesse est" - głoszone ongiś w starożytności. Wędrowanie jest niezbędne. A jeśli już nie samo wędrowanie, to przynajmniej możliwość marzenia o wędrowce i nadzieje, że nawet najbardziej niemożliwe rzeczy można sprawdzić do wymiarów realnych i możliwych.

I jeszcze jedna uwaga. Trzydniowe spotkania OSOTT'ów odbywały się bez alkoholu. Dziwne to? Nie, po prostu możliwe.

Leszek Sawicki



**NA WYCIECZKI!  
TYLKO Z NAMI!**

# Wędrując przez Tiań-Szań

Rozległa, górską krainą Tiań-Szań - Niebiańskie Góry, leży w samym sercu Azji. Jej łańcuchy ciągną się z zachodu na wschód na przestrzeni ponad 2500 km. Ich charakterystyczną cechą jest układ równoleżnikowy całego obszaru, który dzieli się na Północny, Zachodni, Centralny, Wewnętrzny i Wschodni Tiań-Szań, przy czym dwa ostatnie regiony leżą już na terenie Chin. W każdym z nich wyróżnia się wiele pasm o różnym przebiegu, wysokości, budowie geologicznej i przyrodzie. Najwyższy szczyt - Pik Pobiedy, leżący w Centralnym Tiań-Szaniu, ma wysokość 7439 m i został zdobyty dopiero w 1956 r. Klimat jest tu typowo kontynentalny, tj. gorące lato na pogórzu i w dolinach, chłodne wysoko w górach, surowa zima, duże dobowe i sezonowe wahania temperatury, niewielkie zachmurzenie i niewielka ilość opadów. Wybraliśmy się go poznać.

W 1990 r. grupa turystów z Bydgoszczy wędrowała po Zachodnim Tiań-Szaniu w dolinach rzek Czatkan i Aflatun. Znaleźliśmy się tam na zaproszenie Klubu Turystycznego "Horyzont" z Kijowa.

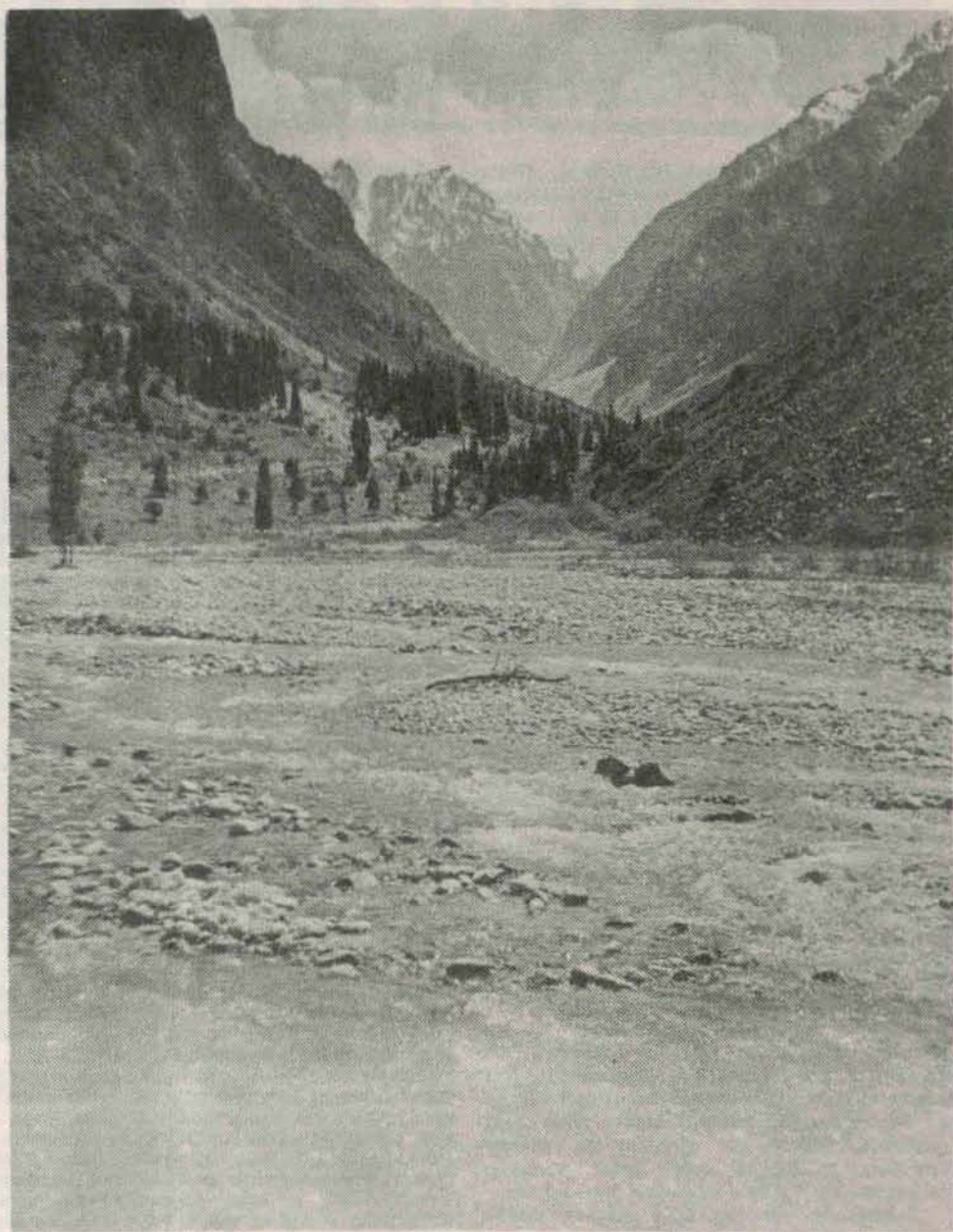
Tiań-Szań Zachodni stanowi szeroko rozgałęziony system górskich łańcuchów i grzbietów położonych przeważnie na terytorium republik Kirgiskiej oraz częściowo Kazachskiej i Uzbeckiej. Znajdują się tu pasma Kirgiskie, Talaskie, Czatkalskie, Fergańskie, Kuramińskie i szereg mniejszych z odgałęzieniami, które zajmują szeroki obszar z zachodu na wschód od Taszkientu - stolicy Uzbekistanu do jeziora Issyk-Kul, a z północy na południe od doliny rzeki Ili do Kotliny Fergańskiej.

W paśmie Czatkalskim spotykamy groty, głębokie wąwozy, szczyty o wysokości ponad 4000 m, lodowce, wodospady i liczne jeziora. Najwyższym szczytem jest Czatkan o wysokości 4503 m. Linia śniegu przebiega na wysokości 3600-3800 m na zboczach północnych i 3800-4000 m na południowych.

Punktem startowym naszej wędrowki była miejscowość Dżambul, do której można dostać się pociągiem lub samolotem. Stąd wynajętym samochodem w ciągu około 6 godzin przejechaliśmy zwykłą, gruntową drogą poprzez przełęcz Kara-Bura (3500 m) z pięknymi widokami na ośnieżone szczyty pasma Talaskiego, do doliny Czatkanu. Przejazd dostarczył wielu mocnych przeżyć zarówno przy podjeździe, jak i zjeździe z przełęczy.

Wędrowka, czyli "marszruta", prowadziła od tak zwanego sztabu (teoretycznie sklep, radiotelefon i lekarz) w dolinie Czatkanu, poprzez dolinę rzeki Kara-Toko do Jeziora Błękitnego (Golubojе oзеро, Kara-Kof), a następnie doliną Iszenkul poprzez przełęcz o tej samej nazwie (3730 m) do doliny Aflatun i na Czatkan.

Jezioro Błękitne, mieniące się różnymi barwami, jest doskonałym miejscem biwakowym i wypadowym do sąsiednich dolin i na okoliczne szczyty. Dorównuje mu jezioro Aflatun leżące przy wspaniałym wapiennym wąwozie. Można stąd w trakcie kilkugodzinnej wędrowki wejść na przełęcz Aflatun Zachodni



W Górach Tiań-Szań - Foto: Zdzisław J. Zieliński

(3300 m), leżącą u podnóża stromej turni nazwanej Zamkiem Bajek (Zamek Skazok), i zejść do doliny Utur, a dalej do Namanganu.

Jednodniowe przejście wąwozem Aflatun było najpiękniejszym etapem wędrowki. Strome wapienne ściany, szmaragdowe jeziora, groty, wodospady i płaty śniegu pozostawiły niezapomniane wrażenie.

Rejony pasma Czatkalskiego są rzadko odwiedzane przez turystów, chociaż nad jez. Aflatun spotkaliśmy trzy grupy wędrujące w różnych kierunkach.

Brak dostępnych szczegółowych map (choćby takich jak nasze), istniejące różnice w nazewnictwie poszczególnych obiektów, podawane przez miejscową ludność i turystów, utrudniają wędrowkę. Nie rzadkie są przypadki, że turyści błądzą nie mogąc znaleźć dolin czy przełęczy, którymi prowadzi zaplanowana trasa. Wędrowki odbywają się najczęściej przy pomocy dokładnego opisu sporządzonego przez tych, którzy pierwsi przeszli daną trasę.

W niektórych dolinach spotkać można jurty Kirgizów, którzy od czerwca do września wypasają owce, przenosząc się w terenie konno. Stwarza to szansę dla transportu bagażu końmi, co znacznie ułatwi wędrowkę.

Przebyta przez nas trasa nie była trudna, chociaż wymagała doświadczenia i odporności na wysokość (przebywaliśmy cały czas na wysokości ponad 3000 m). Główne trudności to strome usypiska, wysoka temperatura w dzień oraz ciężkie plecaki, gdyż całą żywność i sprzęt nosiliśmy sami. Posiłki przygotowuje się na ogniskach. Są to góry jeszcze dzikie i warte poznania dopóki nie wkrocy tam cywilizacja.

Dzięki kontaktom z turystami z Kijowa, również w tym roku planujemy wyjazd w Tiań-Szań i inne egzotyczne rejony (Altaj, jaskinie Podola, Pustynia Kara-Kum). Koszt imprezy w ubiegłym roku wyniósł 300 000,- zł za trzy tygodnie, w trakcie których poza górami zwiedziliśmy Kijów, Taszkient i Samarkandę. W tym roku koszt będzie wyższy i wyniesie około 900 tys. zł.

# GÓRY i ALPINIZM

pod redakcją Aleksandra Lwowa



## Nowe twarze w Himalajach

Stosunkowo od niedawna wśród tłumów kłębiących się w Katmandu zaczyna dominować język hebrajski. Nepal jest jednym z nielicznych krajów w tamtej części świata przyjmujących turystów z Izraela. Innym takim wyjątkiem jest Tajlandia. Z wiadomych powodów nie przyjmują ich kraje muzułmańskie. Dochodzi nawet do takich paradoksów, że w niektórych ambasadach dostaje się natychmiast odmowę wizy, jeśli kiedyś w paszporcie była wbita wiza izraelska, niezależnie od tego, że jest to paszport obywatela jakiegoś innego państwa. Jeśli więc Niemiec czy Amerykanin, w jednym roku odwiedził np. Egipt i Izrael, a w następnym pragnie zobaczyć jeden z muzułmańskich krajów Bliskiego Wschodu lub Azji, to musi postarać się o nowy paszport. Tylko, że u nich załatwia się takie sprawy od ręki. Można też starać się o wizę izraelską na osobnym blankiecie. Wielu Izraelczyków po odbyciu służby wojskowej wyjeżdża z kraju na dłużej, rok lub dwa, by m.in. połączyć po górach Nepalu, poopalać się na plażach w Tajlandii i popracować w Australii. Wielu z nich mówi też po rosyjsku, gdyż należą do byłej fali emigracyjnej lat siedemdziesiątych ze Związku Radzieckiego.

Coraz rzadziej spotkać można w Nepalu Polaków, ale za to aż roi się od Rosjan, których dwa razy w tygodniu dowozi bezpośrednio z Moskwy Aeroflot. Znak czasu! Nasze, nie zawsze chlubne, miejsce w pejzażu Katmandu zajmują inni. Już nie oplać się handlować naszymi towarami, są za drogocennie. Na placu boju (dosłownie i w przenośni) pozostają jeszcze nieliczni kurierzy złota i elektroniki, traktujący Nepal jako kraj tranzytowy. W sklepikach szerspańskich na Thamelu dominują towary z Korei (oczywiście południowej) i sprzęt sowiecki. Oslawione tytanowe rury Rosjanie sprzedają już po 2,5 dolara. Gdzie te czasy, kiedy toto kosztowało 15 zielonych! Coraz więcej jest też radzieckich imprez alpinistycznych. Jak dawniej Polacy, tak teraz oni przeżywają prawdziwy boom ekspedycyjny. Jesienią ub. r. Rosjanie zaatakowali Manaslu, Cho Oyu i południową ścianę Lhotse, zaś pojedynczy wspinacze uczestniczyli też w innych przedsięwzięciach zagranicznych. Człowiek sowiecki jest bardzo silna, ale wraz z powiększeniem liczby wyjeżdżających spada oczywiście ich średni poziom. Natychmiast znajduje to odzwierciedlenie w liczbie wypadków. Ubiegłej jesieni 3 Rosjanie zginęło na wschodniej ścianie Manaslu, a 1 na Dhaulagiri. Pięciu wspinaczy

z Lhotse, w tym zespół szczytowy, doznało poważnych odmrożeń i według relacji Szerpów z Chukung (wieś pos. pd. ścianą Lhotse) zostali oni odtransportowani do Katmandu helikopterem. Także uczestnicy bardzo opóźnionej wyprawy na Cho Oyu powrócili do stolicy Nepalu poddmrażani i bez sukcesu.

ALEKSANDER LWOW

wyjście z bazy, pokrzyżowało również i ten plan. Wszyscy zesłaliśmy do Joglot i udaliśmy się do Gilgit. Po odpoczynku Amerykanie powrócili jeszcze do obozu III i zdolali odzyskać pozostawiony tam sprzęt, my zaś pośpieszyliśmy do Delhi, by 10 sierpnia odlecieć do Warszawy.

ALEKSANDER LWOW

## Z Amerykanami na Rakaposhi

Lipiec 1990 r. spędziliśmy wspólnie z Piotrem Snopczyńskim w rejonie Rakaposhi. Z kraju odlecieliśmy 20 czerwca do Delhi i drogą lądową przez Amritsar, Islamabad oraz Gilgit dojechaliliśmy do wsi Joglot. Już dwa dni później (I.VII.) dotarliśmy w celach rekonesansowych do Kuti BC położonej na wysokości ok. 4400 m. Po zejściu do Joglot zorganizowaliśmy małego karawanę i 5 lipca stanęła nasza baza. 8 i 9 lipca weszliśmy na grań zachodnią do wysokości ok. 5700 m (droga brytyjska z 1958 r.). Okazało się, że wariant ten jest zbyt trudny i skomplikowany, w dodatku pogoda załamała się, więc po biwaku zesłaliśmy do bazy. Ponieważ w sąsiedztwie działała wyprawa amerykańska kierowana przez Thora Kiesera, postanowiliśmy przenieść się do bazy Darukush (ok. 3600 m) i podjąć współdziałanie z Amerykanami, co zostało wstępnie omówione jeszcze w Joglot. Ich oficerem łącznikowym był Yaseen Siddiqui, były uczestnik polskiej wyprawy na Rakaposhi w 1979 r. i wielki - jak twierdził - przyjaciel Polaków, zwłaszcza Jer-zego (wymowa dzielona) Tillaka, a zatem mieliśmy jego zgodę i poparcie. W dniach 12-14 lipca osiągnęliśmy wysokość ok. 5700 m na grani pn.-zach. idąc na lewo od drogi polskiej. W tym czasie Amerykanie założyli obóz II na drodze duńskiej z 1986 r., biegnącej ukośnie na prawo od niej. 20 lipca zaporeczowałem najtrudniejszy odcinek wyprowadzający na grań (miejsce połączenia się dróg polskiej i duńskiej) i cały zespół składający się z 3 Amerykanów i 2 Polaków zabiwakował na wys. ok. 6200 m. W nocy nastąpiło głębokie załamanie pogody, które uwięziło nas na grani przez 4 noce. W tym czasie spadł metr śniegu! Desperacka próba podejścia wyżej, podjęta 24 lipca, załamała się z powodów oczywistych na wysokości ok. 6400 m. Trudne, niebezpieczne i momentami nawet dramatyczne zejście do bazy trwało 2 dni. Mając zaporeczowane całe dolne trudności ściany, zdecydowałem się na podjęcie próby ataku w zespole dwójkowym z T. Kieserem, jednak ponowne głębokie załamanie pogody w nocy poprzedzającej

## Pierwszy Polak na Pumori

Wprawdzie bez stosownego formalnego zezwolenia, ale za to w doskonałym tempie, dokonane zostało pierwsze polskie wejście na Pumori (7165 m). Jego autorem jest Aleksander Lwow, który bawił w Nepalu jesienią ub. r. z grupą niemieckich trekersów. Po dokonaniu wejść na Parcharmo Peak (6200 m) w Rolwalingu oraz Island Peak (6173 m) obok południowej ściany Lhotse (nb. to drugie wejście zajęło mu tylko 4 godziny licząc od bazy, w tym godzina zejścia), 11 listopada dotarł on do podstawy ściany pd.-wsch. Pumori i zabiwakował w miejscu bazy wysuniętej, na wysokości ok. 5700 m. Następnego dnia rozpoczął wspinaczkę o godz. 7.00. Już po czterech godzinach, "niespodziewanie dla samego siebie" znalazł się na grani łączącej Linkren z Pumori, w punkcie oznaczonym na amerykańskiej mapie Everestu kotą 6576 m. Po 45-minutowym odpoczynku i posiłku, na lekko wyruszył w kierunku szczytu, który osiągnął o godz. 14.10. Pobyt na wierzchołku, ze względu na silny wiatr, trwał tylko 10 min., a powrót do podstawy ściany zajął mu godzinę i 40 minut. Po ponownym biwaku w miejscu bazy wysuniętej, 13 listopada Alek zszedł od razu do Pheriche, by nazajutrz zejść wprost do Namche Bazar. Wejście zostało dokonane drogą francuską z 1971 r., jest czwartym solowym i prawdopodobnie najszybszym w historii tej góry. "Z góry założyłem, że powinienem uwinąć się w nie więcej niż dwa dni, dlatego zrezygnowałem z gotowania. Do picia miałem litr herbaty z mlekiem i kompot ananasowy w puszcze, nabyte, tak jak rybki oraz herbatniki w jednym z lodzów w Lobuche. Nie odważyłem się jednak na zrezygnowanie ze śpiwora i karimaty, które doniosłem ze sobą aż do grani. Gdyby zrezygnować zupełnie z plecaka i nie marudzić - jak ja - na starcie, można by wejść i zejść jeszcze szybciej - "gdyż warunki w ścianie były doskonałe" - powiedział Alek Lwow po powrocie.

(a)

## P i e r w s z y   p a r t n e r

W czasie szkolenia skałkowego organizowanego w Sokolikach przez Klub Wysokogórski, zaprzyjaźniłem się ze starszym od siebie (już studentem!) Piotrem Garbaczewskim, zgłębiającym wówczas tajniki bodajże kwantowej teorii pola. Czynił to naprawdę rzetelnie i zawsze zabierał do pociągu książki naukowe, które - co było dla mnie wprost nie do pojęcia - faktycznie czytał. A jeździliśmy w skały bardzo często.

Nasz ówczesny instruktor Bogdan Jankowski najwyraźniej hołdował zasadzie zimnego wychowu cieląt i już na wstępie zaproponował nam pójście na drogę, o której nawet nie śmieliśmy marzyć - Tył Komina na Sukiennicach, turę nadzwyczaj trudną (!) wg nomenklatury taternickiej. W dodatku wcale nie miał zamiaru przeciągać nas przez ścianę, jak się to często na kursach robi, lecz po prostu mieliśmy się wspinać najzupełniej samodzielnie. Nigdy już chyba nie zapomnę drżenia lub raczej dygotu tydek (tzw. telegraf), które opanowało mnie w kluczowym miejscu, przerażenia na myśl, że oto za moment runę w dół i spokojnego głosu Bogdana radzącego, gdzie powinienem się chwycić, co oczywiście było słuszne, lecz (dla mnie, wtedy) niewykonalne. Ostatecznie jakoś drogę tę przerzuciłem, a strach szybko ustąpił miejsca dumie wynikającej z faktu przejścia "na pierwszego" tak trudnej (wtedy, dla mnie) trasy.

Jak to zwykle na początku bywa, wspinałem się dużo i bez opamiętania. Posiadanie szalowego "podciągu" (podwójna lina asekuracyjna), trzech "ryniel" (haki), dwóch ciężkich DDR-owskich karabinków i zwykłego młotka na sznurku, stawiało mnie w szeregu średnio-dobrze usprzętowanych młodych kaskaderów. Już w pierwszych dniach samodzielności skałkowej, góry (czytaj: skałki) dały mi poważne ostrzeżenie. Prowadziłem na drodze o nazwie "33". Hak wbilem na starcie, dwa metry ponad półką skalną, skąd zaczynaliśmy. Po dziesięciu metrach, na których żadna z moich pozostałych ryniel nie dała się wbić, natknąłem się na cienki i mocno zardzewiały hak, wyglądający tak, jakby tkwił tam od 1910 r. Wspinałem się na niego i informując partnera, że "tutaj wszędzie puszcza, więc idę na wprost", chwilę później zwałem się w dół zdziwiony brakiem chwytu w miejscu wcześniej upatrzonym.

Sizal nie pękł, "poniemiecki" hak wytrzymał, partner nie puścił liny (wszystko to mogło się spokojnie przydarzyć), a ja - tuman bez wyobraźni - nawet się zbyt nie przestraszyłem i obliżając krew z rozciętego podbródka, wnet dokończyłem drogę. Jakoś krótko potem, Krzysiek Wielicki (tak, ten od Everestu zimą) "zgruszkował" niemal w tym samym miejscu, waląc siedzeniem w półkę obok partnera. Później przez jakiś czas przychodził do klubu odziany dodatkowo w gipsowy gorsecik. Gdyby wtedy ktoś powiedział mi, że za 18 lat Krzysztof w podobnym gorseciku, samotnie i w zimie zdobędzie Lhoise lub, że Piotr za cztery lata rzuci alpinizm i zrobi znaczącą karierę naukową, popukałbym się tylko znacząco w czoło.

Do dziś zachowałem w pamięci obraz wspaniałych skalnych turni rozsiansych wśród gęstego mieszanego lasu, w którym królowało kilka starych buków. W tygodniu Sokoliki pustoszały niemal zupełnie, a taternicy, przyjeżdżający na sobotę i niedzielę, bez większych problemów mieścili się w kolebie pod Sukiennicami, koło której kilka lat później Stanisław Handl jako pierwszy przeszedł klasycznie (tj. bez sztucznych ułatwień) drogę - nomen omen - "Przez Krzyż".

Co pozostało z tamtych lat, dobrze wiedz ci, którzy odwiedzają Góry Sokole. Nagie skały sterczą wśród kikutów ostatnich umierających drzew. W weekendy skałki przypominają stadion sportowy na tydzień przed Olimpiadą, zaś "zawodnicy" oblepiają ściany, niczym dopiero co wyrojone pająki. Płatana lin, hałas, tłum krążący, siedzący i gapiący się na chwilowych (najczęściej) idoli. Śmiecie, psy, dzieci...

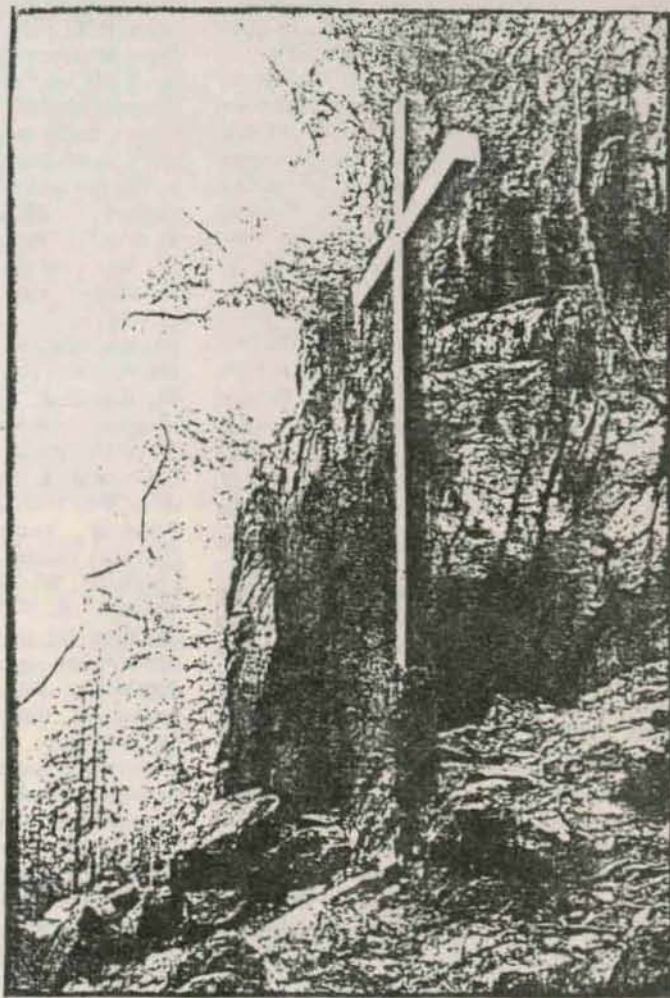
Znacznie też częściej niż dawniej, zdarzają się na skałkach wypadki, były już nawet pojedyncze przypadki śmiertelne. Oczywiście wynika to z faktu, iż grono osób uprawiających wspinaczkę znacznie się rozrosło, a i respekt dla - mówiąc ogólnie - gór, jakby uległ zmniejszeniu. Alpinisci starszej daty nauczeni zostali generalnej zasady "nie spada się" i przeważnie wolą cofnąć się o metr, niż pójść choćby milimetr za daleko. Generacje dziś najmłodsze mają do dyspozycji doskonały sprzęt oraz odpowiednio zmodyfikowaną doktrynę, co czyni w sumie sport skałkowy prawie całkiem bezpiecznym. Ale jak dawniej, tak i dziś zdarzają się tzw. cudowne ocalenia, będące w zasadzie na porządku dziennym. Polegają one na tym, że ktoś spada (najczęściej bez liny) i nie zabija się, choć powinien. Pamiętam, jak na początku lat siedemdziesiątych, Zbigniew Skoczylas (brat Adama - słynnego naszego himalaisty), wówczas jeszcze komandos w służbie

czynnej, a dziś pełnomocnik ds. uchodźców, ryczał swym potężnym żołnierskim głosem do zgromadzonych na werandzie schroniska w Morskim Oku: - Miłosierdzie boskie jest nieograniczone, jak nieograniczona jest głupota ludzka, bo w przeciwnym wypadku większość tej taternickiej holoty dawno by się pozabijała.

Jako początkujący taternik nie wiedziałem wtedy, jak bardzo prawdziwe są te słowa. Te "cudowne ocalenia" dotyczą prawie każdego dużo się wspinającego, a bywają i tacy, co mają ich na koncie wiele. I oto nagle w końcu lat osiemdziesiątych, wśród rzeszy "ułaskawionych" przez los lotników skałkowych pojawiła się osoba, której najwyraźniej upadek z dużej wysokości nieco zaszkodził. W rocznicę swego pamiętnego lotu zrzucił ze skały kukłę ludzką (niby siebie), sięjąc groźbę pośród przypadkowej gawiedzi. Potem, sobie tylko znanymi sposobami, załatwia zgodę lokalnej władzy i na własny - z pewnością niemały - koszt przysyła w skałki robotników, którzy demolują i tak już umierające środowisko, wycinają dwa drzewa, wbijają się przemocą w skaliste podłoże, wbetonowują stalowe sztaby i ustawiają ... krzyż wielometrowej wysokości.

Wyobraźmy sobie, że teraz, zachęteni "dobrym" przykładem, zaczniemy - my wszyscy cudownie ocaleni - fundować następne krzyże, duże, małe, ładne, brzydkie, bogate, skromne, kamienne, drewniane, a biedniejsi - betonowe. Wśród nich, zapominając zupełnie o powadze symbolu, będziemy krzątać się jak zwykle, wspinać się, pokrzykiwać i kłać, bo i to się taternikom zdarza. Już z góry współczuję tym kolegom, którzy z uwagi na większą ilość ocalań, będą zobligowani do postarania się o dwa, trzy lub cztery wota tego typu.

c.d.n.



W Sokolich Górach. Foto: J.Jaśko

## "Kolorowy zawrót głowy" na Słowacji

Jak podało Polskie Radio 18.12.1990 r. w korespondencji z Czechosłowacji, do szturm na Tatry szykują się amerykańscy biznesmeni ze stanu New Hampshire. Chcą oni wykupić bądź wydzierżawić słowackie Tatry Wysokie lub część Niżnych Tatr i przekształcić je w rejon dla sportów zimowych, ze szczególnym uwzględnieniem narciarstwa zjazdowego. Przewiduje się rozwój bazy hotelowej i całej infrastruktury z wyciągami i kolejkami, trasami zjazdowymi itd., itp. Podobno władze Słowacji gotowe są przychylić się do amerykańskiej propozycji, protestują natomiast organizacje ekologiczne i dyrekcja TANAP. Protestują głównie przeciwko rozmiarom planowanych inwestycji, które mają być na miarę igrzysk olimpijskich, bo tak zaplanowano "przebudowę" Tatr. Jeżeli zwycięży chęć szybkiego zarobku i



amerykańskie pieniądze, to przeinwestowane Tatry po południowej stronie granicy nie zostaną bez wpływu na sytuację ekologiczną polskiej części Tatr. Amerykanie są przyzwyczajeni do swoich ogromnych obszarów i wszystko mierzą swoją miarą, a góry są tylko miejscem do wykorzystania. Wszak wszystko jest towarem. Z drugiej strony, nasza wybiędziła część Europy gotowa jest przyjmować propozycje wiążące się z dużymi pieniędzmi. Jest to spore niebezpieczeństwo dla środowiska przyrodniczego tej części Europy, gdzie inwestorzy nie baczą często na zębne skutki swych działań, a zysk jest celem nadrzędnym. Miejmy nadzieję, że zwycięży rozsądek.

Juliusz Wystouch

## Nowości o Ziemi Kłodzkiej

Lepiej późno niż wcale, chciałoby się powiedzieć biorąc do rąk wydaną na początku lutego br. książkę\*. Jest to pokłosie niezwykle ciekawej konferencji, jaka odbyła się w 1981 r. w Kłodzku z okazji tysiąclecia miasta. Zamieszczone artykuły wrocławskich historyków stanowią rozszerzoną i uzupełnioną warsztatowo wersję wygłoszonych tam referatów. Szkoda, że nie wszystkich. Ale i tak dowiadujemy się z pracy o wielu najnowszych ustaleniach co do dziejów tego atrakcyjnego krajoznawczo regionu sudeckiego, tak licznie odwiedzanego przez turystów.

Zaprezentowane teksty dotyczą głównie wczesnych dziejów Ziemi Kłodzkiej, jej kartograficznego przedstawiania i pewne aspekty historii nowszej. Co z nich wynika? Otóż już chyba ostatecznie wykazano, na podstawach archeologicznych i historycznych, iż osadnictwo, a więc i ludność, przyszła tu z południa, z Czech. Rzecz jasna, już od paleolitu przejście przez tutejsze obniżenia stanowiło drogę na północ. Dopiero jednak słowiańskie państwo w Czechach zainteresowało się regionem ze względu na jego strategiczne znaczenie wobec rosnącego w siłę państwa Polan (zajęcie Śląska przez Mieszka I około 990 r.). Dlatego też pierwotne skupiska ludności, łącznie z Kłodzkiem, miały charakter militarny i linearne usytuowanie w regionie. Licznych Czechów spotykano także już poza górską barierą Sudetów, jak świadczy o tym "Księga Henrykowska". Właśnie to specyficzne osadnictwo ułatwiło znakomicie germanizację terenu poprzez rozwój kolonizacji po 1260 r. przez Przemysła Otakara II.

Mimo licznych cytowań łacińskich książek jest godna zainteresowania w szerszym kręgu, nie tylko historyków, ale wszystkich, którzy interesują się przeszłością tego regionu i tej części gór. Szkoda wszakże, iż w tak subtelnych rozważaniach niektórzy autorzy popełniają kardynalne, ale dość nagminnie spotykane błędy. Ot, choćby niewłaściwa nazwa "Bardo Śląskie" (powinna być bez przymiotnika) czy Kotlina Kłodzka jako synonim Ziemi Kłodzkiej. Przecież wymieniane przy okazji góry nie mogą stanowić części Kotliny! Redaktor tomu mógłby tu śmiało ingerować.

KRZYSZTOF R. MAZURSKI

\* Studia z dziejów Ziemi Kłodzkiej. Red. Ryszard Gładkiewicz. Historia LIII. Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego 1990, ss.127. Cena 11 000 zł.

## Mili Czytelnicy!

Grono naszych odbiorców znacznie się powiększyło. Staramy się wyjść im naprzeciw, dostarczając interesujących materiałów o górach i wojach zagranicznych. Być może, zainteresują kogoś także poprzednie numery, zawierające również sporo artykułów i reportaży na te tematy. Posiadamy jeszcze pewną, niedużą ilość egzemplarzy archiwalnych w cenie wcale nie archiwalnej! Warto je nabyć i uzupełnić swoją kolekcję. Poniżej podajemy wykaz tych numerów wraz z ich ceną, przy czym przy wysyłce dochodzą jeszcze koszty opłaty pocztowej.

Numer 1 do 6/1987 cena 1 egz. 1000,-zł  
1 do 6/1988 1 egz. 1000,-zł

## Spotkanie z władzami Komitetu ds. Młodzieży i Kultury Fizycznej

Prezydium ZG PTTK spotkało się 14 lutego br. z delegacją Komitetu ds. Młodzieży i Kultury Fizycznej, na czele której stał przewodniczący Zygmunt Lenkiewicz. Oprócz niego na ul. Senatorską zawitali Marek Paczucha i Cezary Droszcz (zresztą członek ZG PTTK). Zostali oni poinformowani o aktualnych problemach i pracach władz Towarzystwa i niektórych sprawach, nurtujących ogół turystów. Także goście przedstawili aktualną sytuację wokół polskiej turystyki w aspekcie zmian gospodarczych i prawnych. Mówiono m.in. o wspomnieniu inwestycji górskich, turystyce w obszarach przygranicznych gór (w tym o uruchomieniu specjalnych przejść turystycznych) i finansowaniu niektórych zadań specjalnych na zasadzie działań zleconych PTTK przez państwo. Wizytę można podsumować optymistycznie, iż mimo wszelakich trudności resort dobrze widzi znaczącą rolę Towarzystwa i zamierza z nim nadal ściśle współdziałać.

Stwierdzenie to znajduje wyraz m.in. w projekcie którejś tam wersji ustawy o turystyce. Mowa w nim o ochronie szlaków turystycznych i licencjonowaniu usług przewodnickich, w tym o specjalności górskiej. Nie podoba się jednak wstęp do ustawy w postaci art.1, który cytujemy in extenso: "Turystyką w rozumieniu ustawy jest całokształt zjawisk społecznych i gospodarczych związanych z czasową i dobrowolną zmianą miejsca pobytu w celu poznawczym, wypoczynkowym, zdrowotnym, gospodarczym, kultowym lub kulturalnym oraz użytkowaniem i przekształcaniem środowiska geograficznego dla potrzeb ruchu turystycznego". Znow, jak dotąd, definiuje się w zbyt szerokim zakresie tę działalność, przez co do jednego worka wrzuca się bardzo różne sprawy. Bo o ile rzeczywiście turystyka ma dużo wspólnego, nawet bardzo dużo, z poznawaniem (też zresztą bliżej nie wiadomo, czego, ale niech tam), wypoczynkiem i zdrowiem, to w żaden sposób nie można zgodzić się na ujęcie w zapisie pozostałych celów. Oto dowody: jeśli jadę na Targi Poznańskie, żeby pohandlować, to też jestem turystą? A jeśli udaję się z pielgrzymką na Jasną Górę, to uprawiam turystykę? Wybierając się na festiwal sopocki staję się turystą? Nie, nigdy! Decyduje tu wyłącznie cel podejmowania zmian pobytu, bo inaczej znow do turystów wrzuci się wszystkich niemal, co wyjdą z domu. I po co już na wstępie robić takie zamieszanie?

H.K.

1 do 6/1989	1 egz. 1000,-zł
1, 2 /1990	1 egz. 1000,-zł
3-4 /1990	1 egz. 3000,-zł
5 /1990	1 egz. 2000,-zł
6 /1990	1 egz. 3000,-zł

Szczegółnej uwadze polecamy numer 3-4/90 o podwójnej objętości, przygotowany z myślą o IV Kongresie Krajoznawstwa Polskiego. W nim m.in. arcyciekawy artykuł Marka Staffy "Co dalej ze schroniskami", o zagrożeniach i ochronie gór, góry i alpinizm, o autorze pierwszego polskiego przewodnika po Łądku-Zdroju. Zapraszamy!

Redakcja

## Rozmyślania na szlaku (8)

Z moich obserwacji wynika, że na szlakach można spotkać zasadniczo trzy różne grupy turystów, w większości zbierających punkty na GOT. Dla jednych najważniejszy jest marsz: im dłuższy, tym lepszy, bez rozglądania się na boki. Wiedzą oni, skąd wyszli i dokąd doszli, ale mają trudności z odpowiedzią, co widzieli po drodze. Dziennie uzyskują 50-60 punktów, a więc niezgodnie z regulaminem. Turystów w tej grupie jest niewiele. Drugi chodzą wolniej, rozglądają się po okolicy; wystarczają im ładne widoki, przyroda, świeże powietrze. W trakcie podpisywania książeczek GOT można z nimi porozmawiać, ponieważ dobrze znają trasę, dzielą się wrażeniami z widoków, opowiadają o roślinach, skałach i innych twórcach przyrody na szlakach. Jest to najliczniejsza grupa zdobywców GOT. Jest i trzecia, mniej liczna, ale zwiedzająca lub chcąc zwiedzać na szlakach oprócz przyrody również zabytki. I ta grupa ma największe trudności z realizacją swoich zamierzeń. Tak się składa, że przeważającą część zabytków stanowią obiekty sakralne. Dostęp do nich jest znacznie utrudniony, a znacznej części wręcz niemożliwy. Najlepiej wygląda sytuacja w miejscowościach z siedzibą parafii. Na ogół

księźa życzliwie odnoszą się do turystów, umożliwiając im zwiedzenie zabytkowego kościoła; chociaż zdarzają się przykre wyjątki. Nieco gorzej jest z dostępem do kościołów pomocniczych, znajdujących się w tej samej miejscowości co kościoły parafialne, lecz położonych w pewnej odległości od plebanii. Natomiast prawie beznadziejna jest sprawa z obejrzeniem kościołów filialnych, w miejscowościach poza siedzibą parafii. Kościoły te są zamknięte na cztery spusty i praktycznie wstęp do nich jest niemożliwy bez zgody proboszcza. Uzyskanie takiej zgody wymaga dodatkowej, kilkukilometrowej wędrowki do plebanii, a nie zawsze można zastać księdza na miejscu, gdyż oprócz urzędowania w biurze parafii ma również inne powinności. W czasie swoich wieloletnich wędrowek tylko dwa razy spotkałem się ze stwierdzeniem posiadacza kluczy do kościoła filialnego: "Jest to obiekt zabytkowy i otworzę, aby mógł go pan obejrzeć". Natomiast w wielu przypadkach spotykałem się wręcz z wrogością i sądzaniem o chęć kradzieży. Wypowiedzi w stylu: "Łażą tu różni, a potem kradną" nie należą, niestety, do rzadkości. A jak się okazuje z kronik milicyjnych (obecnie

policyjnych), kradzieży w kościołach w przynajmniej większości dokonują miejscowi mieszkańcy, przeważnie zdając sobie sprawę z wartości ukradzionych przedmiotów. Znaczący sztuki wiedzą dokładnie, gdzie i co jest i jaką przedstawia wartość. Sądzę, że sprawa udostępnienia turystom zabytkowych obiektów sakralnych wymaga jakiegoś racjonalnego rozwiązania. Mniejszą liczbę obiektów zabytkowych stanowią budynki świeckie. Dość pokaźna ich część jest zrujnowana, zdewastowana i pozostawiona własnemu losowi. Użytkowane obiekty, jak np. ratusze są praktycznie dostępne w dni powszednie, chociaż pewne pomieszczenia o dużej wartości zabytkowej, m.in. sale posiedzeń, są przeważnie zamknięte. Gorzej jest z zabytkami, w których mieszczą się ośrodki wypoczynkowe, szczególnie zaś ośrodki MON, traktowane jako obiekty wojskowe, z wartownią, strażnikami. Wstęp do nich jest zabroniony, chociaż czasami, przy dobrym humorze komendanta można co nieco zobaczyć. A u południowych sąsiadów sprawa rozwiązana jest prosto. Płaci się "wstępu" i można chodzić po parku, a w określonych godzinach oglądać ciekawe pomieszczenia, i nikomu to nie przeszkodziło, ani nie zagroziło obronności. Może by tak i u nas?

ZBIGNIEW GARBACZEWSKI

## Donosy...

### Inicjatywa w sprawie książeczek GOT

Po likwidacji różnych struktur w PTTK zaczęły się kłopoty z tzw. materiałami statutowymi. Prezydium ZG powtarza: nie ma żadnych przeszkód, by oddziały same wyrabiały i drukowały potrzebne materiały, byle w uzgodnieniu z właściwymi komisjami ZG lub wg obowiązujących wzorów. Tak zaczął Oddział PTTK Winogrady Piątkowo (skr. poczt. 62, 61-680 Poznań), który już rozprowadza książeczki OTP. Oddział gotów jest też przystąpić do dystrybucji regulaminów i książeczek GOT wg uzgodnionych warunków i ilości. Można telefonicznie: 232-406. Warto skontaktować się z oferty i już przygotować się do sezonu letniego.

### Krzyże pokutne na widokówkach

Znany już szeroko w kraju, ale także za granicą, Ogólnopolski Klub Badaczy i Miłośników Krzyży Pokutnych i Rzeźby Przyrodznej PTTK w Świdnicy (ul. Trybunalska 1), wydał ostatnio ciekawą serię grafik ściśle krajoznawczych. Szesć widokówek przedstawia unikatowe w tego typu pamiątkach krzyże pokutne, zachowane na Dolnym Śląsku, głównie jednak w Sudetach. Można je nabywać po cenach zbytu 2400 zł za komplet w celach kolekcjonerskich lub handlowych, do czego gorąco zachęcamy. Rzecz niezwykle ciekawa i oryginalna!

### OSSOLINEUM oferuje:



#### Izabella Rusinowa - "Aleksander Hamilton"

Biografia Aleksandra Hamiltona, kolejna w ossolińskim cyklu, jest zarazem drugą, po biografii Jeffersona, dotyczącą wczesnego okresu republiki amerykańskiej. Hamilton, z wykształcenia prawnik, z zainteresowań finansista, adiutant gen. Washingtona w czasie wojny o niepodległość, sekretarz skarbu w jego gabinecie, aktywnie uczestniczył w powstawaniu nowego państwa.

W ciągu swego niedługiego, bo zaledwie 49-letniego, zakończony tragicznie życia, ani na chwilę nie oderwał się od spraw publicznych. Zwolennik silnej władzy wykonawczej, szerokich uprawnień konstytucyjnych rządu i protekcjonizmu państwowego, jedna z najbardziej fascynujących postaci w dziejach Stanów Zjednoczonych.

20 ark. wyd., 24 il. czarnych, 14x21 cm, cena 15 000 (zbytu) 18 000 (kot.)

#### Maria Babnis - "Książka polska w Gdańsku w okresie zaboru pruskiego (1793-1919)"

Szczegółowe omówienie produkcji wydawniczo-drukarskiej w Gdańsku w latach 1793-1919. recepcja i funkcje książki polskiej oraz warunki społeczno-polityczne, które miały wpływ na funkcjonowanie książki polskiej w okresie zaboru pruskiego.

15 ark. wyd., 40 il. czarnych, 23x17 cm, cena 7 000.-

"Słownik polszczyzny XVI wieku", LXIX pod red. A.R. Mayenowej, F. Peptowskiego, Kolejny tom Słownika wydawanego od 1966 roku, zawiera hasła w obrębie litery "O", 30x21 cm, cena 50 000.-

#### Stefan Ciara - "Senatorowie i dygnitarze koronni w drugiej połowie XVII wieku"

Książka zawiera analizę grupy 330 świeckich senatorów i dygnitarzy koronnych pod względem ich udziału w sprawowaniu czołowych urzędów państwowych i posiadaniu królewskich. Znajdują się w niej krótkie monografie niektórych wybranych rodów senatorskich - awansujących, utrzymujących swą pozycję oraz podupadających. W pracy znajdują się tabele statystyczne, tablice genealogiczne, 13 ilustracji, indeksy, streszczenie w języku angielskim.

15 ark. wyd., 17,5x14,5 cm, cena 6 000.-

#### Halina Stępień - "Artyści polscy w środowisku monachijskim w latach 1828-1855"

Autorka omawia środowisko artystów polskich w Monachium w latach 1828-1855. Studiowali tam m.in. bracia Gierymscy, J. Brandt. A. Wierusz-Kowalski, J. Fałat, W. Czachórski.

18 ark. wyd., 97 il. czarnych, 23,8x16,8 cm, cena 8 000.-

#### "Konstytucja 3 Maja 1791"

Wydawnictwo Ossolineum przygotowało bibliofilski tom "Konstytucji 3 Maja 1791 roku". Jest to prawdziwy rarytas dla miłośników pięknej książki i rodzimej historii - pierwsze faksymilowe wydanie rękopiśmiennego oryginału Konstytucji z zachowaniem formatu (44x25 cm) oraz barwy atramentu, przez oficynę wydawniczą potraktowane ze szczególnym pietyzmem (druk na ekskluzywnym, specjalnie sprowadzonym z zagranicy papierze, ręczna oprawa). Reprodukcję tekstu poprzedzają: wstęp prof. Jerzego Michalskiego i nota edytorska dra Józefa Płochy. Całość opracował graficznie, wybitny artysta sztuki książki Leon Urbanicki.

Sprzedaj gotówkową książkę prowadzą m. in. księgarnie własne Wydawnictwa Ossolineum:  
Rynek 6, 50-106 Wrocław  
(także sprzedaż wysyłkowa)  
ul. Łagiewnicki 56, 80-855 Gdańsk  
ul. Piotrkowska 181, 90-447 Łódź  
ul. Św. Jana 28, 31-018 Kraków